

JAN BRZESKI

Korespondencja własna
z Jugosławii

Zdjęcia autora

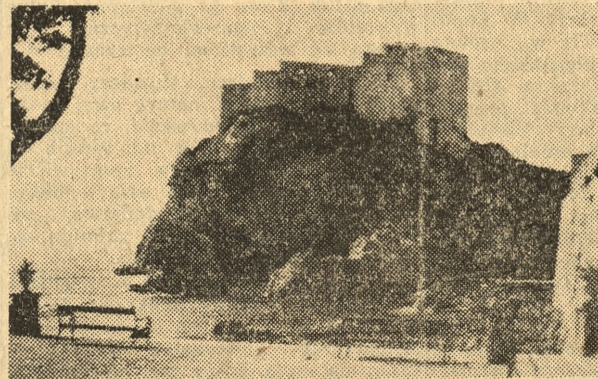
Jadran — morze Słowiańskiego Południa

Bałtyk jest morzem kapryśnym. Ma w sobie coś z zalotności, młodej, płochy dziewczyny, wabiącej cię srebrzystym, przetykanym słońcem uśmiechem i kryjącej się w mroku, kiedy się doń starasz przybliżyć. Nigdy nie wiadomo jak przyjmie twoje zaloty. Czy spojrzy przymilnie w oczy zielonkawą głębią swej toni, czy też ucieknie z głuchym pomrukiem, jeżąc grzywę jak rozeżłona kotka. — Inaczej Adriatyk-Jadran, gorące, południowe morze naszych słowiańskich pobratymców. Jadran — to piękna, świadoma swych wdzięków kobieta. Brunetka o ognistych, palących oczach lub okrągłych kształtów blondyna, przyzywająca cię spojrzeniem zmrużonych źrenic; co kto woli. — Tu istnieje jedna tylko alternatywa: podobasz się albo nie. Jeśli tak, woda i słońce pieścić cię będą tygodniami całymi. Jeśli nie, nie masz na co czekać, lepiej umykaj od razu...

Pachną jaśminy...

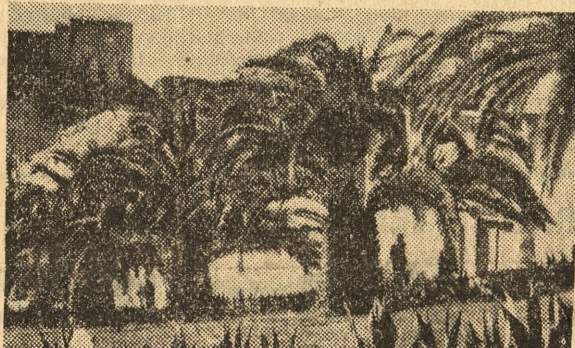
Do Dubrownika przybyliśmy późnym wieczorem i zatrzymaliśmy się w willi

Korzystam z okazji, że obok przejeżdża jakiś rybak i z koleżanką z warszawskiego „Robotnika” w zabójczym kapelusiku z czarnej, paryskiej słomki puszczamy się na morze. Jedziemy ku wyspie Lokrum, na której znajduje się pałac rzymskiego cesarza Maksymiliana. Wydaje się, że wyspa jest tuż, tuż, tymczasem po godzinie jazdy odległość wcale się nie zmniejszyła. Morze kołysze coraz silniej, więc ku ucieście staroego rybaka, który swoje 200 dinarów tak czy owak już zarobił, decydujemy



W cieniu palm kryją się romantyczne parki

„Argentyna”, jednym z owych pięknych hoteli, których pełno jest w całej Jugosławii, urządzonych z wykwintem o jakim w Polsce nie mamy pojęcia. Jest to naturalnie spadek po dawnym reżimie, który budował luksusowe pałace i hotele dla cudzoziemców, nie troszczył się natomiast o fabryki, szkoły i koleje.



Fort Lovrijenac jeszcze broni wstępu do zatoki Kotorskiej na południowym krańcu Dalmacji

W pokoju jest gorąco i parno. Otwieram okiennice z wąskich jak przy żaluzjach deszczu, które tu na południu zastępują szyby i wsłuchuję się w szum morza. W oddali widać światła przyplływającego statku a z rozpiętej nad tarasem w dole pergoli wdziera się odurzający zapach jaśminu...

zawracać do brzegu.

Rozkładamy się na skalach wygrzewamy w słońcu i przypatrujemy puszczającym się w wodzie Dalmatynkom. Zgrabne są bestie — nie ulega wątpliwości! Oto właśnie szczupła, wysoka brunetka podchodzi na brzeg skały i skacze w morze. Pełnym gracji ruchem odwraca się na wznak i lekko odbijając się stopami sunie — jak się to mówi w poetyckim języku — w fal odmetry. Nie jestem wybitnym znawcą sportu, ale sądząc po widzianych tu próbkach wnioskuję, że pływactwo nie jest Achillesową piętą młodej Jugosławii.

Budzi mnie wczesnym rankiem promień wschodzącego słońca. Widok jak z bajki. Wśród czarnych skał u stóp willi spokojny jak owieczka szemrze Jadran, na prawo łśni oślepiająca białością swych średniowiecznych murów Dubrownik w małym wewnętrznym porcie, przytulonym w cieniu potężnych baszt kołyszą się na uwieży żaglowe gdzie rybackie.

Morze mieni się tysiącami barw. Nitki złota migocą w błękitnej wodzie, rzucając rażący w oczy odbłask. Srebrny kleks widoczny w niewielkim oddaleniu, to zablakany tu jakimś trafem ptak północny — mewa...

Stromymi, wykutymi w skale schodkami poprzez taras, na których rosną palmy, cyprysy, pinie i agawy zbiegam ku morzu. Nie ma tu plaży w polskim znaczeniu tego słowa. Potężny masyw Alp Dynarskich podchodzi niemal do samego brzegu, tu i ówdzie tylko zostawiając trochę miejsca, skrzętnie wykorzystanego przez ludzi pod budowę domu lub założenie małego ogródka. — Są to dopiero pierwsze dni czerwca ale woda jest ciepła i ma kolor jasnego błękitu. Jest przy tym tak słona, iż wypicie większej porcji np. przy próbie nurkowania, grozi żołądkowymi komplikacjami.

Nieudana wyprawa

W międzyczasie zastępujące plażę skalne zbocza zaczynają się zaludniać.

Odwracam wzrok w stronę lądu. Nagie, szaro-białe skały przerażają swą bezpłodnością. Podobno kiedyś przed wiekami pokrywały je bogate lasy liściaste ale zachłanna ręka ludzka wycięła je w pień i dziś całe niemal wy-



Zachód słońca nad Jadranem

brzeże dalmatyńskie oddziela od wnętrza kontynentu ta górską pustynia.

W republice średniowiecza

Po południu zwiedzaliśmy miasto. Chodząc po brukowanych chodnikowym płytami placach i jezdniach, wśród gęstwin wąskich uliczek, gdzie powyżej dwie osoby mogą przejść obok siebie, zwiedzając renesansowy pałac rektorów — dołów chorwackiej republiki dubrownickiej, w którego obszernym hallu, otoczonym dokoła kazamatami odbywały się wytorne bale i ścinano głowy skazańcom, podziwiając wspaniałą fontannę z XV wieku, dzieło neapolitańskiego rzeźbiarza Onofriode la Cava przypominając sobie dzieje tego miasta, które mimo 2 trzęsień ziemi, zachowało niemal w całości swój średniowieczny wygląd. Republika dubrownicka w ciągu wielu wieków potrafiła stawiać czoło zakusom Wenecjan i Turków i utrzymała swą niepodległość najdłużej z wszystkich tych średniowiecznych państewek. Przetrwiała nawet republikę wenecką i dopiero Kongres Wiedeński w r. 1815 położył kres jej istnieniu.

A słońce swoją drogą jest nad Jadranem zdradliwe. Tak sobie grało nie silnie, nie słabo, ale choć siedzieliśmy nad morzem tylko do południa, cała nasza piątka jak uciął podostawała wieczorem dreszczy i gorączki. Jedynie nasz cicerone Stoilko-Stoilkovic, dziennikarz belgradzki, który przezornie już gdzieś o 9½ schował się w cień, uniknął tych smutnych następstw. Ano tak jak już wspominałem na wstępie: Jadran to świadoma swych wdzięków kobieta — wymaga treningu i dobrej kondycji.



Dubrownik — perła południowej Dalmacji

Teodor Śmiełowski

Zaduma w porcie

Białe kadłuby jachtów i kutry rybackie
Rwą — jak dzikie rumaki — linowe [wędzida,
Prężą w matowym słońcu sylwety [junackie,
I wydymają gniewnie śnieżnych żagli [skrzydła,
Tęsknota długich rejsów i pięknych [podróży,
Zakłętą w horyzontów tajemnicze dale [duszę rozkołobie,
I rendez-vous pod ręką w towarzystwie [burzy,
Co stapia wszechświat w jedno w or- [giastycznym szale,
Pluski, modrych delinów w zwrotnikowe [noce...
Jak w uczniowskim atlasie kipi [legzotyka,
Wśród sieci południków serce się [szamoce
I z Cookiem na biegunie banderę [zatyka,
Skrzydła mew białym ściegiem zszy- [wają toń z niebem,
Co spienionym taranem w horyzont [luderza,
Niech w wodach twych przepaślnych [duszę rozkołobie,
Bym rzucić mógł kotwicę w złoty piach [nadbrzeża,
W falach słońca przepłuczę ociemniałe [oczy,
I ucieknę od łódów na wieczne roz- [stanie,
Nad oceany tęczą nowych dni wy- [skoczę,
Prowadź bezpiecznie łódź mą — Wielki [kanitanie!

Świat

Ilustrowany dodatek tygodniowy
Nr 26 Głosu Wielkopolskiego

Święto morza

Tegoroczne czwarte z kolei „Święto Morza” jest jeszcze jedną wspaniałą manifestacją polskości Ziemi Odzyskanych. Uroczystości „Dni Morza” — od 23 do 29 czerwca br. nie odbywają się w roku bieżącym centralnie, są natomiast obchodzone we wszystkich zakątkach kraju. Największe nasilenie w uroczystości będzie miało miejsce w Szczecinie i w Gdańsku. Protektorat nad „Świętem Morza” objął Prezydent R. P. Bolesław Bierut.

brzeżu zapłonęły w nocy w dniu 24 bm. ogniska. We Wrocławiu spuszczone zostaną w ramach „Dni Morza” na wodę dwa holowniki oraz dwie motorówki. Odbędzie się również poświęcenie i nadanie nam statku Żegluga Państw. na Odrze, oraz 4 motorówki. Przewidziane jest także poświęcenie gmachu szkoły Żegluga Śródlądowej we Wrocławiu.

Poniższy i bezstronny reportaż ukazuje nam piękno i bogactwo naszego morza, oraz jego ludzi i pracę ich w nowoobudowujących się ze zniszczeń wojennych portach nadbałtyckich. Wszyscy kochamy nasze morze, powinniśmy je również poznać, a w razie potrzeby i obronić, jak głoszą proste słowa piosenki:

„Morze, nasze morze, będziem Ciebie wiernie strzec,
Mamy rozkaz Cię utrzymać, albo na dnie Twoim leć”.



Polska bandera powiewa dumnie na rufie okrętu, który pruje śmiało odmetry morskie



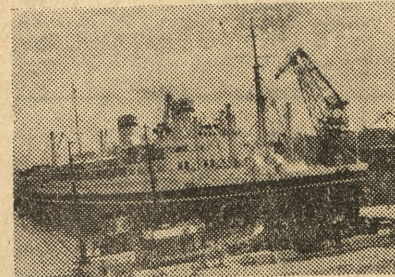
Jak błogo kołysać się w cieniu śnieżno-białych żagli, płynąc w nieznaną przygodę.



Spienione fale Bałtyku o którego „wody szmaragdowe, płynęła krew i nasze lzy” — uderzają z szumem w złote nadbrzeże piaszczystych wydm.

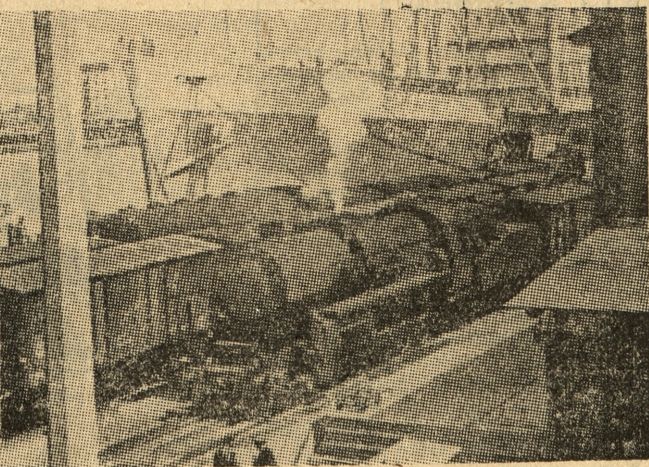
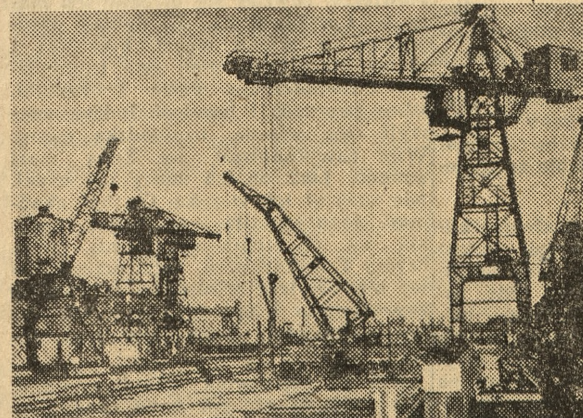


Latarnia morska im. Stefana Żeromskiego w Rozewiu wyznacza zblakłym okrętom w nocy lub w mgłę właściwą drogę chroniąc je od rozbitcia.



Nasz transatlantyk „Batory” w basenie portu gdyńskiego czeka na sygnał odjazdu.

Fot.: Kitzmann
Dobrzykowski
Leszczyński
Modrzejewski



Porty naszego wybrzeża są tymi oknami w szeroki świat i głównymi arteriami komunikacyjnymi w wymianie handlu międzynarodowego, przyczyniając się do wzrostu naszego bogactwa narodowego. Po lewej, potężne krany portu szczecińskiego przy pracy, następnie rybak przy swoich kutrach, wreszcie efektywny fragment portu w Gdyni, który bije rekordy w przeładunkach na Bałtyku.

Uwodzicielska sztuka essayu

Język polski nie znalazł rodzimej nazwy dla gatunku literackiego, określanego we Francji słowem „essai” (próba), a w Anglii „essay”. Przyczyna jest prosta: we Francji i Anglii rodzaj ten posiada wielowiekową tradycję i znajduje coraz liczniejszych przedstawicieli, u nas zaś do czasów najnowszych był zupełnie nieznan. Zresztą późno przyswojony został też przez Niemców, bo dopiero od 1860 r. notuje go literatura niemiecka, choć już przedtem Lessing, Möser i Herder uprawiali gatunek zbliżony do essayu, a nazywano przez nich „Versuch”. Jest w tym pojęciu widocznie coś tak osobliwego, że z trudem da się przeszczerpieć na grunt inny poza macierzysty — podobnie, jak choć z innych względów, pojęcie noweli, gatunku na wskroś romańskiego, opornie przyswajanego przez literaturę niemiecką.

U kolebki essayu stało dwóch geniuszy: Francuz Michel Montaigne, który swoje monumentalne dzieło filozoficzno-literackie, pisane w latach 1580—1588 nazwał „Essais”, i Anglik Francis Bacon, który wydane siedemnaście lat później (1597) tym samym, z lekką zanglicyzowaną słowem „Essays” zatytułował zbiór swoich krótkich maksym i refleksji stanowiący niewyczerpany do dziś jeszcze skarbiec mądroski praktyczny. Wspólny tytuł, ale inny duch i inna właściwa forma. Dzieło Montaigne'a, które stało się kamieniem węgielnym jego stawy literackiej i filozoficznej i które w ciągu późniejszych stuleci wywierało niezmierny wpływ, zawiera jego wspaniałą i obserwację z życia osobistego, uwagi na temat lektury, medytacje nad najrozmaitszymi, nieraz najbardziej intymnymi zjawiskami rzeczywistości ludzkiej, ujęte w formie kabryśnej, naturalnej, swobodnej i nacechowanej poczuciem własnej wartości. Występuje w „Próbach” nazwany przez autora „książką dobrej wiary” bujność i intensywność życia umysłowego, znanie dla renesansowego typu człowieka. Stanowią one zarazem pierwszy, najznakomitszy wyraz nowoczesnego sceptycyzmu. „Que sais-je?”. Cóż ja wiem? — to motyw stałe powracający w refleksjach Montaigne'a, człowieka, który posiadał jednak imponującą wiedzę humanistyczną. Jego dzieło odznacza się językiem wytwornym i pełnym elegancji.

Inne są „essays” Bacona. Ten maż stanu, prawnik, historyk, badacz przyrody i filozof który uważał się za herolda nowych czasów, nie miał nic ze sceptyka, nie był natura skłonna do kontemplacji, lecz pełna niespożytej dynamiki i energii. Ożywiła go wiara w nieskończoną potęgę rozumu ludzkiego. Jego „Próby” posiadają niepospolitą wartość literacką: stworzył w nich własny, odrębny język. Nie opisuje Bacon siebie, jak to czynił Montaigne troska o przeniknięcie tajemnicy własnej istoty jest mu całkowicie obca. Zwierza się w nich czytelnikowi z wyników, do których doprowadziły go własne obserwacje i własne doświadczenia o znaczeniu ogólnoludzkim i ponadczasowym. Tchnie z nich ożywcza siła. Wiele z nich weszło też do przysłów angielskich. Forma ich jest ścisła, precyzyjna, zwarta.

Montaigne i Bacon wyrażając odrębność umysłowości i kultury swoich narodów wyznaczali też dwie odrębne linie rozwojowe essayu jako gatunku literackiego. Skrzyżowanie się ich wpływów, pomnożonych o oddziaływanie dalszych środowisk narodowych sprawiło, że essay stał się jednym z najbardziej nieokreślonych i swobodnych rodzajów, jakie zna literatura. Jedno tylko pewne można o nim powiedzieć, że trwałą jego cechą pozostała odziedziczona po Montaigne'u kapryśna wytworność stylu i swobodny stosunek do ogólnych zjawisk życiowych, które stanowią jego zakres tematyczny, oraz ta prowokująca jakakś świeżość i ostrość myśli, którą obdarzył go Bacon.

Zgodna wydaje się z historią gatun-

ku definicja, essayu jaką daje „Reallexicon der deutschen Literaturgeschichte” (Berlin 1925/26): „Pod essayem rozumiemy krótszą rozprawę utrzymaną w swobodnej formie, stylu i treści, zajmującą się jakimś ogólnie interesującym tematem z duchowego życia czasu współczesnego. Decydującej cechy essayu należy szukać w tym, że duchową treść chwilowo wybranego problemu umie przekazywać czytelnikowi jako subiektywne przeżycie autora i potrafi wydobyc z zaznaczoną swobodą formy to, co istotne”. Widoczne pozostaje piętno dziennikarskie tego gatunku, który wytycza granice między essayem a formalnie ujętą ściśle naukową rozprawą, opartą na czysto obiektywnym traktowaniu faktów lub dążąc do ich stwierdzenia czy ustalenia.”

Z powyższego wynika, że felieton, recenzja, krytyka literacka, studium literackie, albo wreszcie aforyzm, a essay — to nie to samo. Tymczasem u nas utożsamia się te gatunki twórczości literackiej może właśnie dlatego, że literatura nasza nie wydała utworów, w których można by widzieć niezaprzeczonego przykład sztuki essayistycznej. We Francji uprawiali ją: Montaigne (1748), Wolter, Taine, France, Alain i wielu innych pisarzy. W Anglii powstała nawet w XVIII w., osobna szkoła essayistów pod kierunkiem Addisona i Steele'a, a później w XIX w. essaye pisali tak znakomici pisarze, jak Coleridge, Macaulay, Carlyle i Mathew Arnold. Najgenialniejszym zaś essayistą amerykańskim był Emerson. Nawet oświadczali Niemcy zachęci przykładem Lessinga i Herdera przyswajali sobie z biegiem czasu tę elegancką formę i wydali mnóstwo essayistów w rodzaju: Treitschke'go, Freytaga, Baha, Baba, Rathenaua. Natomiast u nas byłoby trudno bez pewnych wahań i zastrzeżeń obdzielić mianem essayistów pisarzy najbardziej jeszcze mogących wchodzić tu pod uwagę, takich jak Władysława Kozickiego, Michała Sobeskiego, Stanisława Wasylewskiego, Leona Chwistka, Tadeusza Zielińskiego, Stefana Kończakowskiego, a nawet najbardziej wytwornego spośród nich — Jana Parandowskiego.

Może to też świadczy o naszym opóźnieniu w stosunku do Zachodu, że

essay jako gatunek nie zapuścił u nas dotąd trwałych korzeni? A może znajdujemy tu jeden z wyrazów naszej narodowej niechęci do intelektualizowania? Dość, że w żadnym wypadku nie może być u nas mowy o niebezpieczeństwie essayu, które zagroża krajom zachodnim. Pisał o tym jeden z najwybitniejszych essayistów współczesnej Anglii Chesterton dając jednocześnie własną, niezmiernie interesującą i dowcipną definicję essayu, w istocie niewiele odbiegającą od naszych określeń:

„Niekiedy ogarnia mnie ponury, chorobliwy nastrój. Mam wówczas uczucie, jakby grzech pojawił się na nowo na ziemi w postaci essayu. Essay jest podobnie jak wąż powabny i zręczny, nadto giętki i zmienny. Prawdopodobnie miał essay już pierwotnie znaczenie: „Spróbuj tylko”. Wąż był w każdym pojęciu słowa kusicielem. Kusiciel ciągle maca swą drogę, bada wytrzymałość innych ludzi. Wprowadzając. Ale wąż może ranić także bez działalności, jaka otacza essay, działa wskutek pozorów bezbronności rozbrajając. Ale wąż może ranić także bez ukąszenia, jak może biec, choć nie ma nog. Jest on obrazem owych wszystkich sztuk, które są podstępne, pełne wykrętów i impresjonistyczne oraz zmieniają się „wszystkimi barwami”.

W innym miejscu tłumaczy autor „Kuli i krzyża”: „Z natury swej essay nie wyjaśnia zdecydowanie, co usiłuje czynić uchylając się w ten sposób od ostatecznej krytyki, czy rzeczywiście spełnił swe zadanie. W essayu mieści się faktyczne niebezpieczeństwo, ponieważ właśnie tak często zajmuje się on teoretycznymi sprawami...”

Chesterton, który — jak widać — szczególnie silnie podkreśla ów omawiany przez nas na początku montaigne'owski pierwiastek pojęcia essayu, ma rację. Essay jest niebezpieczny. Ale gdy zwrócimy uwagę na zdanie wielu filozofów, że wszelka wiedza zawdzięcza swoje istnienie właśnie faktowi poddania się naszym pierwszym rodziców w raj u pokusie węża — trochę jest nam żal, że nie jesteśmy narażeni na taką miłą, powabną i zapładniającą formę niebezpieczeństwa, jaką stanowi uwodzicielska sztuka essayu.

JERZY KORAB

Filharmonia Poznańska „in partibus infidelium”

Już po ostatnim koncercie symfonicznym. Sezon się zakończył Mozartem, Beethovenem i Szymanowskim. Przyjdzie oczywiście kolej na statystykę dokonania muzycznych w ciągu minionych miesięcy symfonicznej roboty. Dziś na inny temat będzie tu mowa. Koncerty oficjalne, te „poniedziałkowe” jakkolwiek o nich teoretycznie powinno być wiadomym każdemu mieszkańcowi Poznania choćby z lektury afiszów na różnorodnych słupach lub z rubryki „Co usłyszymy...” — są przecież dla olbrzymiej większości poznańskich czymś całkowicie zamkniętym i nawet mało interesującym. A dzieje się tak dlatego, że ciągle jeszcze z muzyką symfoniczną nie zdołaliśmy zawrzeć szerszej znajomości i ciągle jeszcze obawiamy się jakiejś wymagowanej „ciężkiej muzyki”. Oczywiście wykształcenie idzie od dołu, to znaczy od strony młodzieży szkolnej. Jednak długo by trzeba czekać na wypełnienie auli uniwersyteckiej dorosłą młodzieżą, która z zamiłowaniem osobistych zjawia się gremialnie na koncercie symfonicznym. A starsi? Z nimi dziś najgorzej. Ani rusz nie mogą pojąć, że spędzenie dwóch godzin w poniedziałkowy wieczór na wysłuchaniu arcydzieła literatury orkiestrowej stanowić może i powinno niezwykłą pozycję w życiu kulturalnym mieszkańca wielkiego, 300 tysięcznego miasta. Od dłuższego już czasu widać mocno poprawioną frekwencję na koncertach. Świadczą o tym wypełnione do ostatniego krzesła balkony i odległejsze rzędy krzesel parterowych. Ciągłe jednak jeszcze zbyt mało zainteresowania darujemy Filharmonii. A że na nie zasługuje — dowiedzimy za tydzień.

Któregoś wczesnego popołudnia znalazłem się w małej sali stołkowej w fabryce Cegielskiego. Na estradzie rozstawiono pulpity a za nimi rozsiedli się muzycy Filharmonii. Miał się za chwilę odbyć koncert symfoniczny dla pracowników fabryki. Owe „za chwilę” przeciągać się zaczęło w coraz groźniejszą nieskończoność. A czemu? Bo słuchacze nie zdolali się pojawić. Wiele przyczyn mogło być to na ten fakt złożyć ale nie wydaje mi się, by tylko brak propagandy pomiędzy pracownikami fabryki. Sam widziałem przecież przy wartowni od strony wewnętrznej „obejścia” afisze z dokładnymi danymi. Wiem o tym skądinąd, że po fabryce opowiadano o koncercie i zachęcano słuchaczy do wizyty w stołówce. Wstęp miał być przecież całkiem bezpłatny! No więc, dlaczego słuchacze ciągle w niekomplecie? Bo brakło im zaopieczowania imprezą, z takim nakładem trudów choćby już tylko natury „transportowo-komunikacyjnej” urządzoną. Wreście koncert się rozpoczął. Komentarz w słowach najprzystępniejszych przedstawił kilkudziesięciu kobietom, starszym majstrom i uczniom warsztatowym zespół orkiestry i omówił program. Miała „iść” Moniuszki „Bajka”, Smetany „Weltawa”, Wistockiego „Taniec zbójnicki”, miał śpiewać Jerzy Garda przy akompaniamencie orkiestry i fortepiano... na sali ciągle przestronno. Mało tego! Wchodzący od czasu do czasu zabiłkami i dźwiękami orkiestry przywiezieni słuchacze hałasują przy wejściu i z dużą „swobodą” szukają sobie miejsca w rzędach krzesel. Zaczynają grać z estrady „Weltawa”. W tej chwili niemal zrywa się z miejsca pewien przystojny, krepy, czarnowłosy i niebieskooki słuchacz i ostentacyjnie wychodzi z sali, tupiąc silnie w drewniane schody. Zapytany o powód niezadowolenia z irytacją odpowiada, że „lepiej byłoby grać oberka a nie tam takie...” — i tu nastąpiło soczyste słowo, oznaczające w gwarze

poznajskiej „głędzenie”. Nie dziwimy się, młody przyjacielu twemu zachowaniu. Nie posyłamy listu gończego... mamy nawet dla ciebie bilety darmowe na koncerty symfoniczne w auli... tylko zechciej się nimi zainteresować i przemoż zamyślenie do oberka a może stać się gorącym muzyki symfonicznej zwolennikiem!

Któregoś znowu ranka na peronie dworca poznańskiego zaroilo się od dzwonych pasażerów. Tym dziwnych, że zamiast walizek mieli w ręku najrozmaitszych kształtów futerały z instrumentami muzycznymi. Po prostu Poznańska Filharmonia wyjeżdżała pociągiem pospiesznym do Szczecina na koncert propagandowy pod gołym niebem. Przyjechali w gorące południe, wsiedli do samochodów ciężarowych i pojechali do przygotowanych w hotelu „Bristol” pokojów. Sobotnie popołudnie było wolne dla wszystkich, toteż ze zrozumiałym zainteresowaniem rozpięchli się rzesze symfoniczne po pełnych zieleni i perspektyw ulicach Szczecina. Cudowne miasto! Czy wspominać na tym miejscu o widnej atmosferze, o porcie odrzańskim, o Szwedach ze statków handlowych, o rybitwach i mewach, o cmentarzu-parku „ku Słońcu”, o udanej premierze farsy francuskiej „Pan! prezesa”, o szarym baranie w „Juracie”, o ciastkach jak stogi siana (tak duży), o pięknie ubranych i pięknych kobietach szczecińskich?

Niedzielnego popołudnia było świadkiem koncertu Poznańskiej Filharmonii nad odrzańskim portem, pod bezchmurnym niebem. Na dachu Muzeum Morskiego powiały polskie chorągwie. Przed okazałym budynkiem sympatyczni chłopcy ze „Służby Polsce” ustawili krzesła i pulpity dla orkiestry a niżej, u stóp kondygnacji schodowej — rzędy ławek dla publiczności. O wyznaczonej godzinie zebrał się chyba 8-tysięczny tłum słuchaczy. Wstęp był całkowicie wolny. Megafony niosły dalej dźwięki orkiestry a radiowa transmisja po całym województwie szczecińskim muzykę rozplotła. Dyrygował Stanisław Wislocki. Program był ciekawie dostosowany dla szerokiej publiczności. Rozpoczęto zawsze miłą i wdzięczną „Bajką” Moniuszki, po czym przyszła kolej na drugą i trzecią część „Symfonii patetycznej” Czajkowskiego. Jerzy Garda śpiewał dwie pieśni do słów Leopolda Staffa, kompozycji Tadeusza Szeligowskiego oraz fragment z „Halki”. Po przerwie grano „Weltawę” Smetany. Szczególnego znaczenia był fakt, że czekała muzyka o czeskiej rzece grała polska orkiestra w polskim Szczecinie, który przecież ofiarował Sasiadowi Czechowi portowe nadbrzeże... I znowu Jerzy Garda śpiewał z orkiestrą. Tym razem lżejszy już repertuar, bo „Pieśń o Odrze” Krzemieńskiego i tegoż „Oberek”... no więc miałbyś i ty, zbuntowany przeciwko „ciężkiej muzyce” pracownika od Cegielskiego swego „oberka”, gdybyś tylko cierpliwie wyczekał chwili! Koncert zakończył się „Taniem zbójnickim” Wislockiego.

Filharmonia Poznańska nie posiada jeszcze wielu wyjazdów w swym repertuarze. Przyjdzie na nie kolej w przyszłym sezonie. Teraz dopiero te podróże „in partibus infidelium” zaczęły. To ważna działalność propagandowa. Nie tylko dlatego, że gra „poznajńska” orkiestra. Taki sam przecież sukces odniosłaby każda inna Filharmonia... ważne jest chyba przede wszystkim to, że dobra muzyka dostaje się w takie kregi, w których o niej dotąd prawie nie słyszano. A muzyka chce być słyszana i to przez ludzi, którym jest droga i cenna nade wszystko!

FRANCISZEK FENIKOWSKI

Prawo morza

*Jeśli poznałeś me prawo, twarde,
jak dłoń żeglarska odjęta wiosłom,
i buntu fałg w sercu narosła
moją do łądu czujesz pogardę.*

*Już cię nie skuszają wiatry łaskawsze,
ani tęsknota nie odda miastom.
Jam cię urzekło fałgą grzywiastą!
Nie zdołasz uciec! Tyś mój na zawsze!*

*Szum fali mojej, zmieniony w mewę,
twoimi ślady polecą wszędzie,
krążąc nad każdym snem twoim, będzie
co noc cię budzić surowym zewem...*

*Innym mieszczkański sen gwiazdy wróżą,
tobie — sztorm słony, co nordą smaga,
bo życie twoje będzie jak flaga
szarpana w strzepy bałtycką burzą!*

*Ziemia z twych oczu się odkotwiczy
i już nie znajdziesz drogi powrotnej,
choć rychło pojmiesz, człowiek samotny,
że miłość moja ma smak goryczy.*

ARKADY FIEDLER

Smarownik Łoza chce jeść

(Fragment z „Dziękuje Ci, Kapitanie”)

Gdy torpeda dosięgła Radłowa, w maszynowni pełnił wachtę smarownik Łoza. Z owej godnej rodziny Łozów ze Sierpca z województwa warszawskiego, która czterech braci wysłała na tę wojnę, jednego żołnierza i trzech marynarzy, i dwóch z nich już w pierwszym roku straciła.

Wybuch torpedy nie zabił Łozy, jak rozplątał stojącego obok niego pierwszego mechanika, lecz zranił go dotkliwie kilkunastoma odłamkami stali. Oślepił go i na pół odurzył. Fala wpadającej wody rzuciła go o ścianę, na szczęście w pobliżu trupu Uchwycił go. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, lecz z wysiłkiem i z przerażeniem piął się do góry. Potem skajlajtem wypadł na pokład. Zato-

czył się, oczy mając zalane krwią. Ujrzał go drugi mechanik i pomógł mu dostać się do szalupy. Tu Łoza stracił przytomność.

Cztery dni i cztery noce tułali się na łodzi po pustym morzu, zanim ich nie ujrzał statek norweski. Przechodzili przez sztormy, wypuszczając musiele dryfotwice, z trudem trzymali się na fali. Wciąż zalewała ich woda. I jego.

Miał Łoza ciało tak nikczemnie naszpikowane odłamkami torpedy, tak nafaszerowane boleścią, że raczej śmierci bliższy był niż życia. Z licznych jego ran najgorszą okazała się rana na głowie. W lewe oko wpadł kawał żelaza i nie tylko zamienił je w krwawą maź, lecz wlał dalej w głębi, gdzieś pod mózg. Głowa napu-

chła szpetnie, jak dynia, jakby pęknięta miała lada chwila. Była wystawiona na wicher i na słoną wodę; nie mieli czym jej obwiązać. Było coraz gorzej. Wszystkie smarownika bolało w chwilach, gdy odzyskiwał przytomność. W dzień żarła go gorączka, w



nocy trzęsły nim dreszcze. Dolna szczęka mu obrzękała, bo i brodę przesyłało żelazo. Nie mógł połykać śliny,

bo gardło nabrzmiało: i w gardle tkwił odłamek.

Leżał bezwładnie na dnie łodzi, dokąd przeciekała woda z zewnątrz. Widział, że towarzysze odnosili się doń z litością, lecz byli bezzadni. Widział również często ich badawcze spojrzenia i domyślał się przyczyn ich ciekawości: patrzyli, czy jeszcze żyje. Bał się, że wrzucą go przez omyłkę do morza w czasie jego nieprzytomności. Strach przed taką śmiercią przeszywał go paniką i był pewnie silniejszy niż prawdziwa śmierć, grożąca mu bezustannie od rany w głowie. Być może, że strach ów trzymał go przy życiu, nie pozwalając przetrwać tej wątej nici.

Przeżył. Cztery dni w szalupie, kilkanaście godzin na Norwegu. Potem zawitali do Port of Spain. Gdy portowy lekarz, który przybył na redę, zobaczył opętniałość, okrwawione, rzucające ciało, nic nie rzekł, tylko smętnie a wymownie pokręcił głową. Kazał je znieść do swej motorówki. Potem na odchodnym, machnąwszy melancholijnie ręką, oświadczył do norweskiego kapitana:

— Wyciągnie mi kopyta w drodze do szpitala...

Smarownik Łoza kopyt nie wyciągnął. Lekarz się mylił. Mylili się wszyscy inni lekarze na Trinidadzie, kiwający głowami. Ich złowrobnie machnięcia rąk świadczyły raczej przeciw nim i ich naiwności niż przeciwko niemu. On podjął opór przeciw ich niewierze, zawiązał się przeciw ich mądrości i wykiwał ich. Ci dobrzy dżentelmeni o skórze białej, brązowej i nieraz czarniawej mieli swe trinidadzkie doświadczenie życia i śmierci. Więc twardość i trwałość ludzkiej miary swą własną, trinidadzką miarą. Więc zawyrokowali, że Łoza musi umrzeć. Lecz on ich miary nie uznał. Nie przyjął ich wyroku. On był skądinąd. Jego zrodziła inna ziemia, uboższa niż ich tropikalna, ziemia piaszczysta i mazowiecka, lecz przecież w tej biedzie, lecz właśnie w tej biedzie żywniejsza i uporzeczysza, burzliwsza i śmielsza. Taka była jego natura.

Był to smarownik czterdziestoletni, który więcej niż pół życia spędził na statkach. Przeważnie polskich, kilku obcych. Pił jak inni marynarze i jak

— Robin! — wykrzyknął tamten.

— Ryszard! Gdzie ty się podziewasz? Szukam cię po całym mieście! Czy znalazłeś jaki nocleg?

Okazało się, że Ryszard, szukając kuzyna nie pomyślał o noclegu.

Stali więc zmartwieni, uradzając, co począć teraz.

— Uwaga! Ktoś idzie. Może straż. Gotowi nas zamknąć w areszcie — ostrzegł Ryszard, słysząc głośnie kroki w głębi uliczki.

Pociągnął Robina do bramy najbliższego domu. Kroki zbliżały się ku nim. Nagle doszedłszy całkiem blisko, idący zatrzymał się.

— Hej, kto tu stoi w bramie? — zapytał.

— Jeśli mnie wzrok nie myli w ciemności, to jesteś moim zwycięzcą na dziesiętych zawodach — ciągnął ów człowiek.

— Widzisz jak kot, jeśli mnie poznałeś, bo ja nie widzę nic i nie wiem, kim jesteś.

— Jestem Ben Piekarz. Miałem duże szanse wzięcia udziału w rozgrywce. Zabrałeś mi nagrodę sprzed nosa. Ale mniejsza z tym. Już nie mam do ciebie żalu. Powiadasz, że nie macie noclegu?

— Nie zatroszczyliśmy się o to wcześniej...

— Hm! Stoimy przed domem mojego majstra. Chodźcie ze mną. Znajdzie się jakiś kąt...

Ujął w rękę wiszącą przy bramie kołatkę i uderzył nią trzykrotnie w bramę. Po chwili rozległy się kroki w głębi i kobiecy głos zapytał:

— Czy to ty Ben?

— Tak, to ja, Elżbieto! I nie przeraż się, ale prowadzę z sobą dwu bardzo zacnych gości.

— Jeśli to są dzielni żołnierze, na pewno się nie przestraszę — odpowiedziała ze śmiechem kobieta.

Klucz zazgrzytał w zamku i drzwi się otwały. W sieni stała młoda dziewczyna, pulchna, przystojna brunetka, z figlarnymi czarnymi oczyma. Kaganikiem, który trzymała w ręku zaświeciła w twarze przybyłym.

— Robin Hood! — zawołała radośnie. — Miałeś rzeczywiście doskonały pomysł, Benie, żeś go do nas przyprowadził.

— Znasz mnie? — zdziwił się Robin. — Daruj, ale nie pamiętam, żebym cię kiedy widział.

— A ja widziałam cię dzisiaj po raz pierwszy na placu zawodów. Ale zapamiętałam doskonale. Chodźcie — ciągnęła. Rodzice już śpią, ale znajdzie się jeszcze dla was coś do zjedzenia i do picia.

Poprowadziła ich po schodach na piętro, gdzie nad piekarnią mieściło się mieszkanie jej ojca. Stary piekarz chorował już od dawna, a Ben, czeladnik prowadził piekarnię. Elżbieta zaś rządziła całym domem, Benem i rodzicami.

Wprowadziła gości do izby mieszkalnej, zapaliła jeszcze jeden kaganek i zakrzętała się żywo przy poczęstunku dla gości.

— Byłem w gospodzie podczas twojej awantury z żołnierzem — oświadczył Ben. — I muszę przyznać, że nabrałem do ciebie sympatii za nauczkę, jaką dałeś temu pyszałkowi. Nie mam już nawet pretensji, że odebrałeś mi nagrodę.

Elżbieta nakryła do stołu, postawiła na nim całą misę zimnego mięsiwa i dzban pieniącego się piwa. Gościnnie zachęcała młodzieńców do jedzenia i nalewała piwa do kubków. Zażądała, by Ben opowiedział dokładnie przebieg

awantury w gospodzie i słuchała z zajęciem, patrząc przy tym na Robina błyszczącymi oczyma z takim uznaniem i zachwytem, że zażenowany chłopak musiał opuszczać oczy.

— Muszę cię jednak ostrzec — zakończył Ben swe opowiadanie — że twoja sytuacja w mieście nie jest wcale bezpieczna. Ubliżyłeś szeryfowi i pobiłeś jego żołnierza. Ten cap, gdy ocknął się z omdlenia, bardzo się odgrażał. Na pewno pójdzie ze skargą i tak cię obgada, że szeryf zarządzi uwięzienie. Będą cię szukać. A nie zazdroścę ci, gdy wpadniesz w ich ręce.

— Eh! — machnął ręką Robin — o tym będziemy mieli czas myśleć jutro. Teraz chętnie bym się przespał. Jestem piekielnie śpiący.

— Szkoda! — westchnęła Elżbieta, patrząc na niego wymownie. — Tak się mile gawędzi.

Obawa zemsty ze strony szeryfa i jego żołnierzy nie psuła zupełnie Robinowi smacznego snu po tym dniu męczącym i pełnym wrażeń.

ROZDZIAŁ III

w którym Robin Hood dowiaduje się, że łatwiej jest wejść do miasta, niż się z niego wydostać

Ben Piekarz musiał wstawać bardzo wcześnie, aby na rano świeże bochenki chleba czekały w piekarni na kupujących. Gdy uporał się już z robotą, wszedł na górę do mieszkania, dowiedzieć się o swoich gości.

— Śpią jeszcze. Nie dają znaku życia — poinformowała go Elżbieta.

— Muszę ich obudzić. Trzeba naradzić się, co mają dalej robić — oświadczył Ben.

Ryszard wstał już, ubrał się i umył, ale Robin spał w najlepsze.

— Mam dla was niezbyt przyjemne wiadomości. Hej, Robinie! Miałeś czas wyspać się już chyba. Obudź się, bo tu idzie o twoją głowę.

Robin otworzył oczy, przeciągnął się na łóżku i zapytał spokojnie:

— O moją głowę? Co komu może zawadzać moja głowa?

— Naraziłeś się wczoraj wielu ludziom. Ten pobity strażnik pobiegł oczywiście do szeryfa. I powtórzył mu w jaki, pozbawiony szacunku sposób wyrażałeś się o jego czcigodnej osobie. Nie wiem, jak ubarwił swoje opowiadanie, ale choćby powiedział szczerą prawdę wystarczyłoby to na doprowadzenie do pasji szeryfa. Czy nie odrzuciłeś bowiem propozycji zaciągnięcia się do jego straży? Zlekceważyłeś to, co powinno być dla ciebie wielkim zaszczytem. A czy nie powiedziałeś wyraźnie: „nie podoba mi się jego głupi, tłusty pysk“?

— Wydaje mi się, że powiedziałem tylko głośno to, co inni myślą po cichu — zauważył Robin.

— Mniejsza z tym. W każdym bądź razie zrobiłeś z szeryfa swego zawziętego wroga. Wydał rozkaz niewypuszczenia cię z miasta. Przy wszystkich bramach stoją strażnicy, którzy widzieli cię dokładnie na zawodach. A pamiętaj, że wśród tych strażników masz dwóch przyjaciół, którzy bardzo będą pilnować, abys się nie uchylił od gościny w więzieniu szeryfa.

— Cóż to za przyjaciele?

— Ten, którego pobiłeś w gospodzie i Will Chudy, dziesiętnik, któremu się wydaje, że pozbawiłeś go zwycięstwa w zawodach.

— Co wobec tego poczniemy? — zapytał Ryszard Partridge bardzo zmartwionym głosem.

— Będziemy próbowali przedostać się jakoś — roześmiał się Robin Hood. — To znaczy ja będę próbował. Bo przecież ciebie, Ryszardzie, nikt nie myśli zapraszać do więzienia. Nie bój się! Dam sobie jakoś radę. Przecież w bramie nie będzie na mnie czekał cały oddział. Przebiję się — i w nogi! Wiesz, że biegam bardzo szybko. Nim jeden z drugim zdąży naciągnąć łuk, będę już poza zasięgiem strzały.

Ben powątpiewając kręcił głową.

— Trzeba to obmyśleć, trzeba odczekać. Na razie siedź tutaj i nie wychylaj nosa z izby. Poproszę Elżbietę, aby podała wam tutaj śniadanie. Do mieszkania może ktoś wejść...

— Dobrze mówisz, szczególnie o śniadaniu. Jestem głodny, jak młody wilk.

Ben poszedł do Elżbiety, a Robin wyskoczył z łóżka i szybko zaczął się ubierać. Nim nadeszła Elżbieta ze śniadaniem, był już ubrany, umyty i oczyszczony. Podskoczył, aby pomóc jej nakryć stół, rozstawić miski i napelnić je po brzegi gęstą, pachnącą smakowicie polewką.

Młodzieńcy nie pozwolili zbytnio się prosić, zasiedli do stołu i łyżki dziarsko zastukały po brzegach misek. Elżbieta usiadła na boku i przyglądała się im z uśmiechem.

— Ben opowiedział mi o grożącym wam niebezpieczeństwie — zaczęła, gdy już, wydało się jej, młodzieńcy zaspokoiли pierwszy głód.

— U-hm! — odparł uprzejmie Robin, odgryzając ogromny kęs z pajdy świeżego chleba.

— Mam doskonały pomysł — ciągnęła — jak przeprowadzić cię przez bramę miejską.

— U-hm! — przytaknął Robin bez większego zainteresowania.

— Po prostu przebierzesz się za kobietę...

Robin zakrzuszył się chlebem tak gwałtownie, że Ryszard musiał go mocno walić pięścią w plecy, aby przyszedł do siebie.

— Elżbieto! — zawołał, gdy mógł już mówić normalnie. — Nie mów dowcipów, gdy połykam jedzenie, jeśli nie chcesz, abym się udusił w szpatmatycznym śmiechu.

— Uważasz to za dowcip? — odparła lekko dotknięta jego kpinami. — A mnie się wydaje, że to znakomity pomysł. Podejmuję się przebrać cię tak, że rodzona matka przejdzie obok ciebie, nie poznając. To jedyny sposób wydobycia się z miasta.

— To nie jest wcale takie głupie, Robinie — wtrącił swe zdanie Ryszard.

— Ależ jak ja będę poruszać się w kobiecych szmatach. Spódnice oplączą mi nogi. Jeszcze się przewrócę w najnieodpowiedniejszym miejscu.

Robin protestował coraz słabiej. Bezczyne siedzenie w mieszkaniu piekarza wcale mu nie odpowiadało. Mógłby wprawdzie uciąć sobie lekki flirt z Elżbietą, która najwidoczniej nie miała nic przeciwko temu, ale nie chciał tego robić, aby nie ranić serca zakochanemu Benowi. Wyjść na ulicę, albo próbować wydostać się z miasta, to — musiał przyznać — było narażaniem się na uwięzienie.

Wieżenie?! Brr!

Ciarki przechodziły mu po plecach na samą myśl o tym. Być zamkniętym w ciasnej celi, nie widzieć nieba, pola, lasu, nie móc oddychać pełną piersią, nie móc włożyć się po leśnych haszczach, nie móc polować.

A wymknąć się wrogom w przebraniu kobiecym? Oszukać ich czujność, dokuczyć nadętemu szeryfowi?

— To mogłoby być bardzo zabawne! — powiedział głośno.

— Oczywiście, że zabawne i wesołe i chytre — podchwyciła żywo Elżbieta.

— Poczekaj! Zaraz pójde poszperać w swoim kufrze. Moje suknie trzeba będzie na ciebie trochę podłużyć i poszerzyć. Ale damy jakoś radę.

Wybiegła, a Robin zaczął spacerować po pokoju, starając się naśladować ruchy kobiece. Chodził drobnym krokiem, drepząc szybko i chwiejąc się przy tym zabawnie w biodrach.

Około południa z domu piekarza wyszły na ulicę trzy osoby. Jedną z nich była Elżbieta, drugą Ryszard Partridge, który w węzélku niósł rzeczy Robina Hooda, trzecią — wysoka kobieta, w chustce na głowie ocieniającej twarz, w sukniach, sięgających do ziemi. Obie kobiety miały niewielkie koszyki w rękach, jakby wybierały się na rynek, albo na wieś, za miasto po gospodarskie zakupy.

Na rogu rozstali się. Ryszard, ustaliwszy poprzednio miejsce spotkania za miastem, poszedł w kierunku bramy północnej, kobiety zaś ku bramie wschodniej.

Przez całą drogę Elżbieta zabawiała rozmową swą towarzyszkę, która odpowiadała jej monosylabami.

— Bylebym tylko nie wybuchnął śmiechem, przechodząc koło strażnika szepem powiedziała do Elżbiety jej towarzyszka.

— Nie gadaj głupstw. Możesz uśmiechać się co najwyżej, bo narazisz na niebezpieczeństwo nie tylko siebie, ale i mnie — odparła wesoło Elżbieta.

Po ulicach chodziło dziś jeszcze sporo osób. Po wczorajszych igrzyskach nie wszyscy obcy opuścili miasto. W bramie wschodniej ruch też panował znaczny. Strażnicy, pełniący wartę, przyglądali się uważnie wszystkim piechutom, wychodzącym z miasta, przetrząsali też zawartość wozów, ku wielkiej obawie woźniców, aby nie zginęło coś z dokonanych w mieście zakupów.

— Czegóż to szukacie tak pilnie? — zapytała Elżbieta znajomego żołnierza, uśmiechając się przy tym do niego figlarnie.

— Ciebie nie będziemy obszukiwać, pięknotko — odpowiedział wesoło strażnik — Na pewno go nie przemycisz. Gdybyś go ukryła, na pewno nie chciałby w ogóle opuścić miasta.

— Kto wie! — droczyła się Elżbieta, robiąc tajemnicze miny. — A może właśnie przemycam go... w koszyczku.

I tak, przekomarzając się ze strażą, minęła wraz ze swą milczącą towarzyszką bramę. Przeszły przez most zwodzony i wyszły na drogę, wiodącą w stronę lasu. Las był celem, do którego dążyli. Tam Robin Hood nie potrzebował się już obawiać pogoni szeryfowskich straży. Ten las, ciągnący się całymi milami, był dlań przyjacielem i bezpiecznym schronieniem.

— Nie wiem, jak potrafię odwzajemnić ci się za twoją dobroć, Elżbieto — odezwał się Robin Hood normalnym już swoim głosem, gdy odeszli kilkaset kroków od bramy. W pobliżu nie było ludzi, tak że nie miał się kto dziwić, że młoda dziewczyna przemawia dźwięcznym barytonem. — Widzę, że bez twojej

pomocy nie wy dostałbym się w żaden sposób z miasta. Widocznie szeryf czuje się bardzo dotknięty, jeśli zastawił na mnie takie gęste sieci.

— Wydaje mi się, że cieszy cię ten gniew szeryfa.

— O, tak! Mam ja z tym panem swoje porachunki. Ale muszę poczekać kilka lat na ich załatwienie.

Głos Robin Hooda przy tych słowach zmienił się zupełnie. Nie było w nim wesołych tonów, zadźwięczała twarda stal, zabrzmiał ukryty gniew.

— Dziwny jesteś, Robin Hoodzie — powiedziała w zamyśleniu Elżbieta. — Właściwie nie wiem, jaki jesteś. Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy na placu zawodów, wydawało mi się, że do trzech liczyć nie potrafisz. Śmiać mi się chciało, że takie niewiniątko pcha się pomiędzy doświadczonych łuczników. Potem myślałam, że jesteś szalony lekkoduch, który bez zastanowienia urządza awantury w gospodzie i nie wiezieć po co naraża się potężnym panom. A teraz...

— Dokończ, Elżbieto! — roześmiał się znów bez troski Robin Hood. — Co myślisz o mnie teraz?

— Teraz myślę, że ty coś ukrywasz, coś nosisz w głębi duszy, Robin Hoodzie. I myślę, że nie chciałabym być na miejscu tego, komu zaprzysięgniesz zemstę.

— Choćby nawet on był potężnym normańskim baronem, a ja biednym Sasem? — zapytał wesoło Robin Hood.

— Czy szeryf skrzywdził cię w jakiś sposób? — zamiast odpowiedzi zadała znów pytanie Elżbieta.

— Mniejsza z tym! — machnął ręką Robin. Opowiem ci to może kiedyś. Najważniejsze jest to, że on krzywdzi wielu biednych i słabych. A ja przysięgam sobie, że będę gnębił i tępił takich jak on wielmożów i bogaczy... Bo ich nienawidzę! Rozumiesz?

— Czy nienawidzisz tak samo hrabiny Gisborne? — rzuciła nagle Elżbieta. Robin Hood zaskoczony aż przystanął na drodze.

— Skąd przyszło ci do głowy takie pytanie?

— Czemuś się tak zarumienił pod chustką, Robinie? — zakpiła. — Pytam tylko, czy twoja nienawiść kieruje się wyłącznie ku opasłym wielmożom, czy obejmuje również piękne i zalotne damy.

— Gadasz głupstwa, dziewczyno!

— Broń Boże! Wydawało mi się tylko, że spoglądałaś zupełnie bez nienawiści w oczy uroczej hrabiny, kiedy uśmiechała się do ciebie czule, wręczając nagrodę. I zdawało mi się, że wasze ręce dotykały się dość długo...

— Nie mogłem przecież być nieuprzejmy! — Robin był trochę zmieszany podejrzeniami Elżbiety. — Nawet nie zauważyłem, czy hrabina jest istotnie, jak mówisz, piękna i młoda.

— Wierz ci całkowicie, Robinie — ironizowała dziewczyna. — Młodzi ludzie są tak roztargnieni — nie widzą nigdy, czy kobieta jest młoda, czy stara, piękna czy brzydka. A powiedz mi, Robinie, czy ja mam wiele więcej, niż sześćdziesiąt lat? I czy jestem blondynką czy szatynką?

— Ty ty, Elżbieto! — zafrasował się na chwilę młodzieniec. Ale zaraz odciął się wesoło. — Być może, iż jestem roztargniony, ale zauważyłem, że masz naprawdę złote serce i... że jesteś narzeczoną mojego przyjaciela, Bena Piekarza.

— Nie jestem niczyją narzeczoną — zawołała ze złością Elżbieta. — Zresztą mniejsza z tym. To moja sprawa i ciebie to nic a nic nie obchodzi — dodała

szybko. — Jesteśmy już na miejscu. Tu w krzakach możesz zdjąć śmiało te kobiece szmatki i możesz spokojnie wędrować w swoją stronę.

Usiadła przy drodze na skraju lasu, a Robin zniknął w gęstych zaroślach, ażeby powrócić do swej właściwej postaci. Trwało to dość długo. Słyszała z krzaków jakieś szamotanie, rozzłoszczone mruczenie i tłumione przekleństwa. Widocznie niełatwo mu było poradzić sobie ze złośliwymi zapięciami i wiązaniami kobiecego stroju. Ale nie ruszyła się, żeby mu przyjść z pomocą.

— Jeśli mnie o to nie prosi, nie potrzebuję się domyślać, że powinnam mu pomóc. On też jest bardzo niedomyślny — mruzczała do siebie ze złością.

Wreszcie Robin uporał się z przebraniem. Wyszedł z krzaków w zwykłym swoim stroju. Brak mu było tylko płaszcza i broni, które zabrał ze sobą Ryszard Partridge. W rękach niósł zwinięte suknie kobiece.

— Obawiam się, Elżbieto, że zniszczyłem ci trochę twoje suknie. Zdaje się, że rozerwały się w kilku miejscach — powiedział pokornie.

— Tak zwykle bywa, gdy jesteśmy zbyt dobre dla mężczyzn — mruzczała Elżbieta, pakując suknie do swojego koszyczka.

— Pst! Uwaga! — zawołał nagle Robin. — Zdaje mi się, że to sygnał Ryszarda.

Elżbieta podniosła głowę. Słyszała tylko odległe kukanie kukułki.

Robin przyłożył dłoń do ust i hukanie, przypominające do złudzenia głos puszczyka, rozległo się po lesie. Po chwili odpowiedziało mu znów kilkakrotne kukanie.

— Tak, to on! Musiał dobrze wyciągać nogi — zauważył Robin.

Stali teraz obok siebie i milczeli, nie wiedząc, co powiedzieć na pożegnanie.

— Rozstaniemy się za chwilę, Elżbieto — zaczął Robin. — Dziękuję ci serdecznie za wszystko...

— Nie zrobiłam nic nadzwyczajnego — wrzuszyła ramionami dziewczyna.

— Jesteś zbyt skromna. Zawdzięczam ci bardzo wiele. Muszę powiedzieć, że miałem szczęście trafiając do twego domu.

— Silisz się niepotrzebnie na uprzejmość — ucięła.

— Ależ naprawdę... — bąknęła i zamilkła znowu.

Wzięła swoje koszyki, zbierając się do powrotu.

— Bywaj zdrow, Robinie Hood — powiedziała.

Robin zrobił krok ku niej.

— Czy... czy mogę cię pocałować na pożegnanie, Elżbieto? — zapytał z niezwykłą u niego nieśmiałością.

Spojrzała na niego smutnie, ale za chwilę wesoły chochlik błysnął w jej oczach.

— Jestem przecież narzeczoną twego przyjaciela! — odparła z przekorą.

— Ależ myślałem przecież o braterskim pocałunku — tłumaczył się zaskoczony.

— A więc... chyba po bratersku, Robinie — zgodziła się z uśmiechem i podała mu rozchyłone lekko usta.

Robin objął ją w pól, przycisnął mocno do siebie. Pocałunek trwał o jedną chwilę za długo, jak na prawdziwie braterski pocałunek. Po chwili — po tej właśnie chwili — Elżbieta wysunęła się zrećnie z jego objęć.

— Do widzenia, Robin Hoodzie — zawołała wesoło, odbiegłszy kilka kroków. — Myślę, że się jeszcze przecież kiedyś spotkamy!

— Do widzenia, Elżbieto! Będę cię mile wspominał — odpowiedział, podnosząc rękę na pożegnanie.

W tej chwili kukanie kukułki rozległo się bardzo blisko i za chwilę Ryszard Partridge wyskoczył z krzaków po przeciwnej stronie drogi. Robin podbiegł do niego. Szybko porwał z jego rąk przypasał do boku swój miecz, chwycił łuk i kołczan. Zarzucił płaszcz na ramiona.

— No, jestem znów w swojej skórze! — wykrzyknął wesoło.

Rażno ruszyli drogą.

Gdy doszli do zakrętu Robin obejrzał się za siebie. Elżbieta stała jeszcze w miejscu, na którym ją pożegnał. Patrzyła za oddalającymi się chłopcami. Ujrawszy, że się obejrzał, pomachała mu ręką na pożegnanie.

— Do widzenia, Elżbieto! -- zawołał. — Dziękuję za wszystko!

ROZDZIAŁ IV

w którym poznajemy dwór Partridge i jego mieszkańców

Dopiero następnego dnia wieczorem wędrowcy dobili do domu, czyli do dworu Partridge, siedziby Jakuba Partridge'a — ojca Ryszarda, a wuja Robina, położonego na wielkiej polanie wśród lasu Sherwood, nad małą, ale bystrą rzeczką bez nazwy, wpadającą do rzeki Trent. Sąsiedztwo tej rzeczki wzmagало obronność dworu, otoczonego podwójną palisadą z mocnych belek. Pomiedzy palisadami bowiem przekopany był głęboki, kilkumetrowej szerokości rów, napełniony wodą i zbiegający się u tej właśnie rzeczki. Gdyby jakiś oddział zbrojny próbował napaść na dwór, to — po zamknięciu bramy zewnętrznej i podniesieniu zwodzonego mostu — trudno byłoby mu sforsować tę prymitywną, ale potężną fortyfikację.

Obroncy dworu, ukryci za drugą palisadą, mogli długo i skutecznie bronić się przeciw atakowi nawet o wiele liczniejszych napastników, którzy pod strzałami musieliby forsować pierwszą palisadę i trudną do przebrnięcia fosę. Silne fortyfikowanie dworów było wprawdzie zabronione przez króla, ponieważ niebezpieczne wydawało się istnienie takich twierdz na wypadek jakiegoś buntu. Ale zarzucony w głębi lasów dwór Partridge uchodził jakoś dotąd szczęśliwie uwadze urzędników królewskich. Partridge'owie siedzieli spokojnie w swoim ostępie. Nie wchodzili w drogę nikomu, kto ich nie zaczepił, ale potrafili pokazać groźnie zęby, gdy ich nie w porę ruszono.

Płacili podatki, wysyłali okup, należny szeryfowi za zwolnienie od obowiązku wystawiania zbrojnego żołnierza na wyprawy królewskie i na tym kończyły się ich stosunki z panami kraju, których zawsze uważali za normańskich najeźdźców. Chociaż od najazdu Wilhelma I w roku 1066 upłynęło już przeszło sto lat i Normanowie, zadomowiwszy się na swych zdobycznych dziedzinach uważali się za rodowitych Anglików, to dawni mieszkańcy kraju, Sasi, wydziedziczeni niejednokrotnie ze swych dawnych posiadłości, nie mogli darować im swych krzywd i trwali w cichej, ale nieprzełaganej opozycji.

Nienawiść Partridge'ów do „normańskich najeźdźców“ doznała niedawno nowej podniety, tym mocniejszej, że bardzo osobistej. Tą podniętą była śmierć

ojca Robina Hooda, a męża najmłodszej siostry. Jakuba Partridge, Alicji. Za winnego tej śmierci uważali Partridge'owie szeryfa Nottingham.

Ojciec Robina był leśniczym w lasach Sherwood. Był to człowiek spokojny i opanowany, ale bardzo stanowczy i nie cofający się przed niczym, gdy był przekonany, że postępuje zgodnie z prawdą i sprawiedliwością. Zdarzyło mu się kilkakrotnie ściągnąć na siebie gniew szeryfa Nottingham, do którego shire'u, czy hrabstwa należało również jego leśnictwo. Niesforny leśniczy, widząc nierzetelność urzędników szeryfa, gnębiących ludzi w sąsiednich wioskach wygórowanymi podatkami, protestował przeciwko temu ostro. Kilkakrotnie przegnał ich, gdy chcieli zabierać, jako niewolników, synów włościan, nie mogących wypłacić niesłusznie wymierzonych danin. Kiedyś pobił żołnierza, który zrabował biednej wdowie ostatnią krowę. Kiedy indziej, na czele wzburzonych wieśniaków, rozpedził całą ekspedycję, ponieważ żołnierze przy ściąganiu podatków bili starców i kobiety.

Szeryf, dowiadując się o tym, zgrzytał zębami, ale obawiał się postawić leśniczego przed sąd, aby nie wyszły na jaw nieuczciwości jego i jego ludzi. Wiedział, że leśniczy, który nieraz w oczy prażył mu całą prawdę, nie będzie milczał przed sądem.

Czekał na inną okazję do zemsty. Skorzystał z tego, że król Henryk II, objeżdżając kraj, odwiedził również Nottingham, wytoczył przed niego oskarżenie, że leśniczy, zamiast pilnować zwierzyny w powierzonym mu lesie, sam wybija królewskie jelenie i daniela.

Było to bardzo ciężkie oskarżenie, przeciwko któremu bronić się było trudno. Od czasów Wilhelma I istniał surowy zakaz polowania na zwierzynę w lasach królewskich. Wilhelm, który był namiętnym myśliwym, który kazał zasadzić nowe lasy na ogromnych przestrzeniach, który nie wahał się zniszczyć kilkadziesiąt wsi, aby ich kosztem powiększyć tereny łowieckie, — wydał prawo, karzące śmiercią, albo ucięciem ręki każdego, kto samowolnie zabija sarnę w królewskich lasach.

A w jaki sposób miał się bronić leśniczy, jak mógł dowieść, że nie zabił nigdy królewskiego daniela, czy kozła? Szczególnie, gdy oskarżenie przeciw niemu wnosił taki dygnitarz, jak szeryf Nottingham, a popierał je i poświadczal namówiony przezeń przyjaciel, bogaty hrabia Gisborne.

Król zapalał gniewem, kazał uwięzić leśniczego i postawić go przed koronnym sądem.

Tak się akurat nieszczęśliwie złożyło, że leśniczy leżał w tym czasie chory. Zetknął się w lesie z dzikiem i został poważnie poraniony w tym spotkaniu.

Strażnicy szeryfa otrzymali rozkaz przywiezienia leśniczego żywego czy martwego do zamku. Taki rozkaz wydał szeryf, przewidując, że leśniczy może się bronić przed uwięzieniem. Nie zważając więc na protesty żony, porwali rannego i na koniu wieźli go do Nottingham. W drodze ranny zmarł z upływu krwi.

Żona leśniczego wraz z synem, Robinem wróciła do ojcowskiego dworu Partridge, w którym rządził już najstarszy brat Jakub. Przyjęto ją z całą serdecznością, a że Jakub niedawno temu owdowiał, siostra objęła kobiece rządy we dworze brata. Ich dzieci chowały się razem jak rodzeństwo.

Przewisko Hood otrzymał Robin od rodzeństwa, a to stąd, że, kiedy po raz pierwszy przyjechał do Partridge, ubrany był w płaszcz z wielkim kapturem, który stale zesuwał mu się na twarz.

**Nowodworski i Śrzedziński —
dwaj polscy zagońcy**

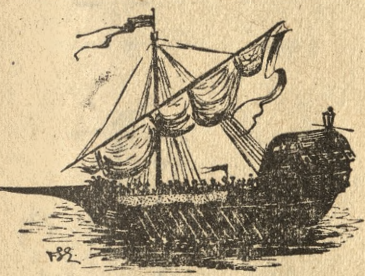
Jeżeliby się chciało wyróżnić jakiś obszar morski, na którym najliczniej, pływali Polacy, to można bez wahaną wskazać na Morze Śródziemne. Na jego chybliwych wodach niemal nieprzerwanie przez szereg wieków tamali się ładowe dusze polskie: uczyły się poszanowania dla morskiego żywiołu.

Prof. Bystron wymienia dziesiątki i setki pielgrzymów odbywających rejsy do Ziemi św. na galerach, brygantach i tartanach w różnych okresach czasu, opisuje podróże poetów, artystów i żołnierzy w ciągu XIX wieku, kreśli kilka sylwetek zagońców morskich, którzy na historycznych szlakach Fenicjan, Greków i Rzymian mężnie stawali w „morskiej potrzebie”. Ale nawet obszerna praca prof. Bystrona nie wyczerpuje bogatego materiału tak dziś zresztą pożądanego dla rosnącej rzeszy entuzjastów morza.

Polacy — żeglarze pojawiali się często na śródziemnomorskich szlakach wojennych. Dzielnie walczyli na okrętach obok żeglarzy z krajów o bujnych tradycjach żeglarskich. Oreg polski błyskał na jednostkach miast włoskich, maltańskich i francuskich a więc służył różnym banderom, nigdy jednak dla żądy łupów i żołnierskiej swawoli, ale zawsze przeciw imperializmowi i korsarstwu, które Conrad określa jako charakterystyczne dla Morza Śródziemnego.

Wśród polskich zagońców morskich, którzy tutaj dali się poznać, warto zwrócić uwagę na 2 zapomnianych kawalerów maltańskich — Bartłomieja Nowodworskiego i Zygmunta Śrzedzińskiego, o których z widoczną sympatią pisze Fabian Birkowski — jeden z żywiołowych mówców i kaznodziej XVII wieku. Wymieniamy te postacie razem dlatego, że występowały mniej więcej w tym samym czasie tzn. na początku XVII wieku i brały udział w tych samych działaniach floty maltańskiej.

W 1601 roku nowy mistrz zakonu rycerskiego na Malcie, broniącego żeglugi europejskiej przed napadami floty tureckiej i korsarzy północno-afrykańskich Francuz de Vignacourt, wprowadza nową organizację wojenno-morską. Galery, które dotąd operowały indywidualnie, zostają złączone w jednolitą armię i skierowane do operacji na większą skalę. Planuje się oswojenie półwyspu Peloponeskiego (Grecja) spod jarzma tureckiego i znieszenia miast portowych korsarzy afrykańskich. W tym momencie zjawiają się na Malcie obaj wymienieni Polacy.



Domniemany typ zdobycznej galery tureckiej

tu handlowemu Mahomette na wybrzeżu berberyjskim, który zostaje zdobyty przez akcję kombinowaną floty. Rok później flota maltańska rusza w kierunku Grecji i przy pomocy desanta opanowuje miasta nadmorskie Patras i Leopanto słynne ze słocznej tu przed 32 laty wielkiej bitwy morskiej.

Koło tego właśnie Leopanto obu Polakom uśmiechnęła się fortuna wojenna. Birkowski pisze o Nowodworskim, że gdy... „pod zamek Lepontski zajął i w północy (tzn. w północnej części) pedardę do bramy przysadzziwszy, zamek pogański otworzył. Znowu szedł pod drugie miasto imieniem Mahomette, którego z towarzyszeniem dobywając, odniósł okrutną ranę z wielką sławą

u rycerstwa maltańskiego, które się dziwowało, jak mógł tak wiele człowiek ten dokazać w upalnych krainach, który się pod zimnymi Tryonami rozdził. Całe ośm lat w Malcie strawił zawsze w bojach z pogaństwem...”

O Zygmuncie Śrzedzińskim, Birkowski zosławił nam znowu takie świadectwo... „tyś był dzielnym strażnikiem tychże ubogich, gdyż swoich dni dwieście na wodzie zbójce morskie gromił, galery tureckie na morzu, zamki po brzegach wojował. — Powiadano przed tym, iż nie każdemu się trafi do Koryntu przejechać, szalone tam morza i z tej i z owej strony, ciasne morze i dla tegoż niebezpieczne...”

Jak z owych przekazów wynika Nowodworski służył we flocie 8 lat tj. od 1599 do 1607 roku. Śrzedziński dwa lata tj. zapewne od 1602—1604 roku. Można więc przypuszczać, że obaj brali jeszcze udział w wypadzie morskim na wyspę Langgo. Znałowali się niewątpliwie wśród załogi desantowej, która wchodziła obok wiosłarzy w skład obsady każdej galery. Załoga desantowa toczyła bój wręcz przy szepieniu się dwóch okrętów (abordaż) i przy ładowaniu na wybrzeżu nieprzyjacielskim. Oczywiście załoga ta musiała być również dobrze obznajmiona z nawigacją.

O Nowodworskim mówi nie tylko historia. Ktokolwiek znał dzieje się na Wawelu, będzie mógł zobaczyć obraz przedstawiający na tle morza, ścierających się galery i tonących rozbitków — kłęzącego człowieka w czerwonym polskim stroju. To właśnie Polak — zdobywca Lepanta.

JOZEF MODRZEJEWSKI

Eliminacyjny konkurs szopenowski w Warszawie

W Warszawie rozpoczął się w dniu 18 czerwca br. konkurs szopenowski dla pianistów w wieku od lat 16 do 32. Jest to konkurs eliminacyjny przed wielkim konkursem międzynarodowym dla młodych pianistów całego świata, który rozegra się w roku szopenowskim 1949.

Do tych pierwszych rozgrywek zostało przyjętych tylko 26 kandydatów z całej Polski, gdyż warunkiem przyjęcia było albo ukończenie konserwatorium, albo wykazanie się działalnością koncertową.

Skład jury jest następujący: znani pianiści Zbigniew Drzewiecki, Stanisław Szpinalski, Wojtowicz, Żurawiew, Lefel Trombino Kazuro, Dąbrowski, kompozytorzy Rytel i Adam Wiemawski, dyrektor muzyczny „Polskiego Radia” Jasiński i inni.

Konkurenci wykonują swój program w 2 etapach. I. Utwory solowe. II. Koncert f-moll lub e-moll z orkiestrą. Z utworów solowych wybrano: jedną z sonat lub balladę i scherzo, 2 Etiudy, 2 Mazurki, jeden z nokturnów, jeden z wielkich polonezów.

Eliminacje odbywają się przez 5 dni od godz. 10—12 i od 16—18. Gra codziennie 4 do 5 pianistów. Konkurs odbywa się w sali koncertowej Y. M. C. A. Produkcjom przysłuchuje się prócz członków kolegium sędziowskiego również licznie zebrana publiczność.

Celem zachowania zupełnej bezstronności w ocenie kandydatów jury zastosowało na wniosek prof. Szpinalskiego nowy sposób głosowania: młodzi pianiści grają za kotarą, są więc niewidoczni zarówno dla sędziów jak dla publiczności. Każdy kandydat wylosowuje swój numer kolejności produkcji — sędziowie zatem słuchają go nie znając nazwisk wykonawców i tym samym zniewoleni są klasyfikować jedynie na podstawie wyłącznego wrażenia słuchowego.

Powojenna polska książka o morzu

Sprawy morskie w Polsce Ludowej stały się bardziej powszechne i aktualne niż dawniej głównie z powodu doskonale zdanej próby wojennej przez marynarza polskiego na szlakach bałtyckich i oceanicznych, a nadto dzięki wielkiemu programowi polskiej ekspansji morskiej i przesunięciu granicy morskiej do ujścia Odry. W związku z tym obserwujemy w naszej literaturze powojennej dwa zasadnicze motywy morza, chociaż nie brak i innych. Pierwszy tematycznie jest związany z wypadkami w okresie 1939—1945 roku i występuje w szeregu utworów o typie reportażowym, drugi nawiązuje do piastowskich tradycji morskich, mających swe źródło na zachodnich rubieżach.

Już w okresie wojennym pod wpływem bezpośrednich niecodziennych przeżyć — powstało szereg książek ilustrujących nowy nasz stosunek do morza oraz przedstawiających nowy typ polskiego bojownika morskiego. Nie były to jednolite opracowania, zawierające kalejdoskop przygód jednego bohatera, ale garść opowieści z dużym wkładem liryzmu autora, wysuwających na czoło gromadę. Można powiedzieć, że w literaturze odbiła się owa harmonia życia załogi na morzu, gdzie wszystko osiąga się zbiorowym wysiłkiem, lecz gdzie każdy zachowuje swój własny stosunek do rzeczywistości. W cyklu Fiedlera pt. „Dziękuję Ci, Kapitanie”, mamy przecież wcale bogatą galerię sylwetek marynarskich, bardzo różnorodną i niepowtarzalną, a przecież z każdej strony promieniuje jeden duch i jeden cel wszytkich.

Marynarze polscy spełniają swe obowiązki żołnierskie w odległości wielu setek czy tysięcy mil od kraju, zupełnie tak samo, jakby bronili bezpośrednio własnego brzegu. Jest to nowy moment w naszej twórczości batali-

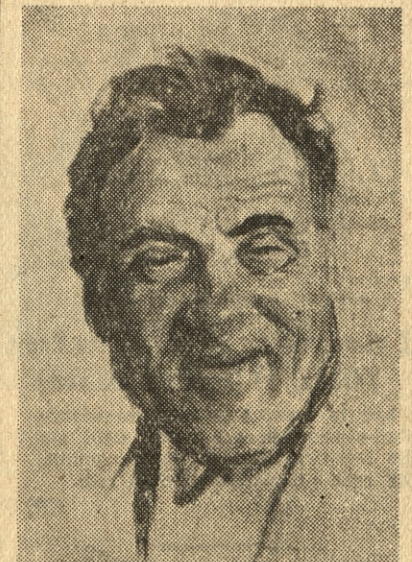
styczno-patriotycznej, która przenosząc akcję na inne obszary, tchnęła wielką tęsknotą żołnierza, a oczyszczając reportażową — nie ma czasu na nostalgicę, choć żegluga zdaje się dostarczać mu długich chwil na refleksje.

Dorywczo pisane opowiadania wojenno-morskie nie są pozbawione wartości artystycznych. Jest w nich przede wszystkim szczerść i prostota, różnobarwna skala pejzaży morskich i moc epizodów, wprowadzających w tajemniczy świat batalistki morskiej. Wszystkie te zalety najlepiej zostały uwypuklone w zbiorze Józefa Bartosika pt. „Wierny okręt”, w którym zawarto najpiękniejsze karty z dzienników okrętowych kilku naszych jednostek. Porywająca fabuła, żywy styl i dość bogaty język — oto cechy książki Bartosika.

Jeżeli chodzi o motyw drugi — to opiera się on tematycznie na średniowiecznych kronikach i sagach skandynawskich. Mówi o pochodzie Chrobrego do ujścia Odry i organizowaniu drużyny morskiej z najemnych Wikinów i miejscowych żeglarzy słowiańskich. Stosunek do morza jest dość niejednorodny. Gołubiew w „Bolesławie Chrobrym” daje wprawdzie jako motto pieśń bojową wojów Krzywoustego według Galla-Anonima, tchnącą wybitnie entuzjazmem do żeglugi, ale obrażuje pewnego rodzaju nieporadność drużyny książęcej podczas zdobywania Wołynia i jednego tylko przybysza Dzierżka pasuje na żeglarza. Grabski znów w Janku Broniszu przedstawia typ Polaka, dającego sobie radę równo na lądzie jak i na morzu. Mówi dużo o portach w Wołyniu i Jomsborgu, podkreśla morską politykę Piastów i daje nam pierwszy obraz bitwy morskiej pomiędzy okrętami żaglowo-wiosłowymi. Zda się, że Grabski jest bliższy epoce Chrobrego niż Gołubiew, gdyż ujście Odry było głównym ogniskiem sporów polsko-niemiecko-skandynawskich i tylko rozwiązanie problemu bezpieczeństwa na morzu mogło dać zwycięstwo Chrobremu.

Ukazanie odległych perspektyw morskich w dużych powieściach jest niewątpliwie przełamaniem poglądu, tkwiącego w tradycji, że byłimy przede wszystkim narodem rolniczym, obojętnym na sprawy ekspansji morskiej. Wydaje się że nadchodzi chwila, kiedy literatura włączy w swój główny nurt motyw morza jako motyw pracy narodowej. Zwrócenie uwagi na wypadki w ujściu Odry jest zapowiedzią tego. Literatura powojenna dotknęła jeszcze innego zagadnienia morskiego. Jest nim historia zdobywców oceanu, odkrywców i wiecznych bohaterów morza. Na razie jednak mamy do zanotowania tylko jedną taką książkę Wandy Wasilewskiej w typie popularnym, dotyczącą odkrycia Ameryki.

„Navigator”



Portret charakterystyczny (olej) z salonu poznańskiego YMCA pędzla S. Przesłańskiego

W następnej korespondencji szczegółowe wyniki konkursu.

Fr. Łukasiewicz

Przegląd kulturalny

Przeżywamy okres kończenia roku szkolnego we wszystkich rodzajach i stopniach szkół, a więc i artystycznych, robimy bilans roczny. Publiczne wystawy i popisy dają szeroki kołom społeczeństwa możliwość skontrolowania postępów swojej młodzieży i zorientowania się w walorach narybku artystycznego. Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych pokazała bardzo obfity materiał. Owoc pracy kursu ogólnego i dwóch lat Wydziału Malarstwa i Grafiki zaprezentowany był w lokalu szkoły przy pl. Wołności. Wydział Architektury wnętrz urządził wystawę swego zakładu ceramiki i rzeźby w skromnym lokalu przy ul. Patrona Jackowskiego, a wystawę architektury wnętrza i tkanin artystycznych przy ul. Młynnej. Poza tym wystawiło swe prace Liceum Plastyczne przy ul. Hetmańskiej i Ognisko Krzewienia Kultury Plastycznej.

Na wielkiej wystawie międzyszkolnej na Garbarach znaleźć można było również ciekawe i piękne prace dzieciinne. Szkoły zawodowe urządziły wielką wystawę w hali Izb Rzemieślniczych przy ul. Świerczewskiego.

W Gnieźnie odbyły się wystawy szkół zawodowych żeńskich i męskich, przy czym zauważyć trzeba, że ekspozycje szkoły żeńskiej zostały w większej części już w dniu otwarcia zakupione, były praktyczne i pożyteczne. Poza wystawami prac uczelnianych, odbywającymi się zapewne również w każdej szkole na prowincji, zanotować trzeba jeszcze: w Jarocinie wystawę szkolną „Jak powstała książka?” (22. 5.—6. 6.), w Ostrowcu (7. 6.) wystawę plastyków z obszerna obejmującą 103 ekspozycje malarstwa i trzy rzeźby, w Gnieźnie wystawę fotografii. Wystawa objazdowa: „150 lat malarstwa polskiego” bawi nadal w terenie województwa i cieszy się powodzeniem.

Szkoły muzyczne w Poznaniu: Niższa, Średnia i Umuzyczniająca, poza częstymi audycjami wewnętrznymi w ciągu roku dały ostatnie końcowe popisy. Wyższa Szkoła Muzyczna obejmująca wydziały: kompozycyjno-dyrygencki, instrumentalny, wokalny i pedagogiczny od marca br. dała 6 audycji wewnętrznymi i trzy publiczne. Ma około 60 słuchaczy, Egzamin końcowy zdało w tym roku 5: Koszowski Andrzej i Dąbrowski Florian, uczniowie prof. Poradowskiego, rokujący dobre nadzieje w Wydziale Kompozycyjnym i 3 z Wydziału Pedagogicznego. W Gnieźnie odbył się również popis szkoły muzycznej w sali Teatru Miejskiego, a publiczność objawiała szczerą radość z postępów swej młodzieży.

Szkoły rytmiki, najbardziej chyba efektowne dla szerszych kół, wykazały się dorobkiem swej pracy: Po popisie szkoły Milewskiej w Teatrze Aktora i Lalki — M. Hildebrand-Pruska wystąpiła w Teatrze Polskim ze swoją szkołą o trochę odmienną metodzie, ale wykazującą również dobre osiągnięcia. Milewska pokaże jeszcze swój kurs rytmiki przy konserwatorium.

Niewątpliwie najważniejszym wydarzeniem artystycznym Poznania w ostatnim okresie jest wystawienie „Swante-wita” Perkowskiemu w Operze. Prepremlera odbyła się 19 bm. Około tego par excellence — nowoczesnego utworu rozgorzała żywa dyskusja i wymiana zdań, pobudzająca aktywność myślową i indywidualną analizę wrażeń artystycznych u wszystkich, którzy go wysłuchali. Jest to ostatni występ dyr. Lato-szewskiego, powołanego do Warszawy na wybitne stanowisko.

W Teatrze Polskim idzie nowa sztuka: „Codzienne o piątę”, komedia Hennequin’a w Teatrze Muzycznym: „Karieta Panny Mary”.

W Poznaniu bawiła grupa kompozytorów radzieckich z prezesem Chremikowem na czele. Wygłosił on odczyt „Drogi rozwoju współczesnej muzyki rosyjskiej” w białej sali Urzędu Wojewódzkiego.

P. Erię Innes z British Consul w Warszawie, na zaproszenie Kola Anglików przy Uniwersytecie wygłosił odczyt o Kiplingu w Collegium Philosophicum.

inni Ignął do sipawek w portach, lecz nigdy nie był biczmanem ani kundą, ani łabędziem. Miał swój honor. Był mocniejszy niż inni wyrażnym widzeniem tego, co prawe, a co niskie. Jego rejsy po świecie nie były czczą włóczęgą; były raczej wędrówką, były może osoblwym pielgrzymstwem. Nie trwonił w nich sił życiowych, raczej zdobywał je i pomnażał. Singapore czy Colon, Gdynia czy Buenos Aires były dla niego jak wartościowe monety zbierane do zdrowego zrosu. Sosna, poczęta na piaskach mazowieckich, targana szkwałami siedmiu mórz, rozrastała się w duszę spoiistą jak dąb i w ciało odporne jak drzewo żelazne. Lekarze na Trinidadzie, zbici z tropu, stanęli w obliczu zagadkowego dla nich fenomenu.

Więc gdy Łoza w kilku godzinach nie skonał, posłali go do szpitala w San Fernando. Tam prześwietlili go i stwierdzili ponownie, że powinien być umrzeć na pewniaka, gdyż miał kawał żelaza w środku głowy. Obawiając się operować go zwykłym sposobem, spróbowali innego: silnym magnesem zaczęli wywabiać żelazo z głowy.

Udało się! Odlamki z triumfem wydobyl na wierzch. Ze Łoza przy tym nie umarł, wprawiło ich w podziw jeszcze większy niż ich triumf.



Potem resztki oka wydtubali, jamę wyczyścili. A Łoza żył. W międzyczasie wyjęli mu z reszty ciała kilkanaście odlamków. Żył na dobre. Teraz zaczęli patrzeć na niego zyczliwiej niż przedtem, z zadowoleniem i nawet

z rosnącą sympatią. Jeśli kiwali głowami, to już inaczej: z uznaniem.

Lecz prawdziwy popłoch powstał w szpitalu na czwarty dzień po operacji oka. Jak szpital szpitalem, nie było jeszcze tak dziwnego wypadku. Lekarze oniemieli, pielęgniarki potraciły głowy. Ludzkie pojęcie się kończyło.

Łoza, jak każdy pacjent tuż po ciężkiej operacji, dostawał bardzo lekkie pokarmy: rano dwa kawałki chleba prawie bez masła i wodnisty cup of coffee, na obiad odrobinę, pozał się Boże, ryżu z plasterkiem mięsa małym jak „zegarek na rękę”, na kolację znów suchawy chleb. Przez trzy dni smarownik znosił to cierpliwie, jak karę Bożą (za jakie grzechy? pytał się w duchu), lecz w miarę, jak wyjaśniało mu się w głowie po operacji, serce wypełniał jeden, coraz głębszy żal: poczucie doznawanej krzywdy. Każdy marynarz wie, co to dobra strawa; więc obolałą głowę smarownika zaczęła gnębić myśl, że robią z nim tutaj na Trinidadzie jakiś kant, że chcą go zamorzyć głodem.

Gdy na czwarty dzień rano pielęgniarka przyniosła zwykle śniadanie,

dwa kawałki chleba, zerwały się w marynarzu tamy cierpliwości. Zaryczał jak zrany lew do dziewczyny:

— Jeść!! Dajcie mi jeść!!
Przybiegł zdumiony lekarz.
— Jeść, psiakrew, mówię!!! — krzyczał Łoza rozsierdzony.

Lekarz zwrócił mu gniewnie uwagę na to, że pacjent, który zaledwie cztery dni temu prawie konał, powinien być spokojny; lecz na to Łoza obyspał go jeszcze gniewniejszym gradem słów, niemożliwych do druku. Obfite jedzenie zaszkodzi choremu, przedkładał lekarz, lecz Łoza posłał go do wszystkich jasnych piorunów i zażądał żarcia.

Smarownik pod bandażami nie mógł się ruszać. Lecz z pozostałego, prawnego oka buchał taki płomień oburzenia i tyle pasji życiowej, że to lekarza zatkało i niemal przeraziło.

Zwołali konsylium. Radzili. Dali mu, czego chciał. Jadł teraz befsztyki. Nie zaskoczyły mu; przeciwnie. Nabierał szybko zdrowia i sił. Urzeczeni, patrzyli na niego jak na cudo, pielęgniarki — jak na bóstwo. On jadł jęczmień, on wciągał befsztyki, on żarł

wszystko i coraz lepiej się miał. Wygrał jakąś niezwykłą sprawę.

W cztery tygodnie później polski statek, na którym jechał ze Stanów Zjednoczonych do Brazylii, przeplynał szczęśliwie przez strefę niemieckich łodzi podwodnych na Karaibskim Morzu i poprzez cieśninę Boca wszedł do Port of Spain. W owym czasie Łoza musiał stać się sławny na całym Trinidadzie, bo zaledwie lekarz portowy przybył na nasz statek, zaczął nam dziwy prawić o niepokonanym rozbitku z m. s. Radłowa. Twarz lekarza zajaśniała nagle od zachwyty, gdy mówił o niepojętej żywotności smarownika Łoza.

— Trumień już na niego gotowaliśmy — śmiał się lekarz — a on tymczasem na czwarty dzień po operacji chciał lanie sprawić lekarzowi naczelnemu...

Wtedy to ogarnęły mnie ciche wątpliwości, czy pochodnia, której ciągłość usabiała przedtem Radłowe, naprawdę zginęła wraz z tym statekiem; a nuż przejęły ją inne, nie-szczęście dionie, i pochodnia przeszła w niepokromioną krnąbność życia polskiego smarownika?

ORP „Wilk”

ORP „Wilk” był pierwszym okrętem podwodnym marynarki polskiej. Budowę jego przeprowadziła znana stocznia A. Normand w mieście portowym Le Havre w ciągu 4 lat i w r.



Sylweta okrętu podwodnego ORP „Wilk”

1931 przekazała go polskiej załodze. Okręt był znany licznym entuzjastom morskim, którzy zwiedzali Oksywie i których najwięcej zajmowała pełna tajemnic i jakiegoś uroku żegluga podmorska. Na ogół nie dopuszczano ciekawych do wnętrza a niektórym tak się bardzo do tego rwały serca. Marynarz strażowy objaśniał ogólnikowo, że główna część kadłuba znajduje się zawsze pod powierzchnią, że to co widzimy jest tylko piątą częścią wysokości okrętu od stepki do końców peryskopów.

Dziś ORP „Wilk” stoi zakotwiczony gdzieś w porcie brytyjskim jako wysłużony weteran. W ciszy i spokoju a przede wszystkim w osamotnieniu spędza swoje ostatnie dni, które dzieła go od chwili rozbiórki na złom. Dwa bieguny uczuć ludzkich dotknęły więc okręt podwodny: entuzjazmu, ciekawości i szczerego podziwu z jednej strony, zaś lekceważenia i zapomnienia z drugiej. A był między tymi okres chwalebny, który czeka ciągle na drobiazgowego historyka. Przypomnijmy więc kilka szczegółów z kariery wojennej naszego okrętu.

ORP „Wilk” w chwili wybuchu wojny z Niemcami zabrał swoje dziesięć torped i czterdzieści min do wnętrza i wyruszył w morze. Miał zapasy paliwa wystarczające na przebycie 3500 mil morskich z szybkością 10 węzłów czyli 18,5 km/godz. na powierzchni a sto mil pod wodą z połową wymienionej prędkości. Można więc było polować dłużej czas na Bałtyku, zwłaszcza, że „zwierzyna” była liczna i grubszego kalibru.

Czterdziestu dwóch członków załogi naszego okrętu podwodnego było dobrej myśli. Ale nieprzyjacieli nie zapomnieli o polskich zagonyżkach podwodnych. Wokół półwyspu helskiego i na szlaku Swinoujście—Piława zgromadził flotyllę trałowców i pościgowców różnego typu oraz wysłał wodnosamoloty do patrolowania. Przygotowano starannie nagonkę na pięć polskich okrętów podwodnych. Trochę jej sprzyjał sam Bałtyk, na ogół niegłębok i nieduży, a więc niezbyt szczęśliwy teren operacyjny dla naszych dość pokaźnych jednostek.

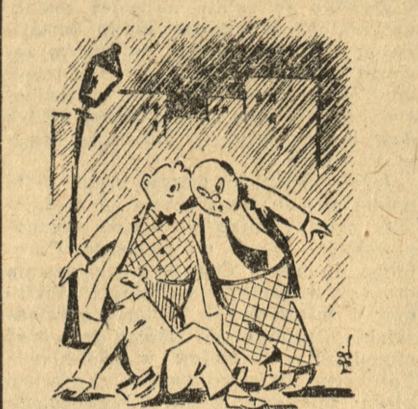
ORP „Wilk” już pierwszego dnia został zaatakowany przez dwa niemieckie trałowce, które jednak nie użyły granatów głębinowych. Ta przyjemność miała spotkać naszych podwodników trzeciego i piątego dnia wojny, kiedy został wytopiony ślad i napastnicy postanowili zniszczyć nasz okręt. Padły więc granaty w głębinę i wybuchły w mniejszej lub większej odległości. Skoro powstały uszkodzenia, dowódca naszego okrętu podwodnego postanowił nie czekać na ostateczne ciosy i śmierć pod wodą, ale wyszedł odważnie na powierzchnię, gdzie cychały pomocnicze trałowce. Prędzej niż mogli ochłonąć Niemcy ze zdumienia, artylerzyści wybiegli z baszty, zdjęli czop działa 100 mm i rozpoczęli ogień. Napastnicy rozproszyli się niepyszni.

Około połowy września ORP „Wilk” wskutek braku bezpiecznej bazy, w której by mógł dokonać napraw — wyruszył forsować cieśniny duńskie, strzeżone pilnie przez wroga. Spotykali po drodze szereg jednostek, których nie mógł atakować. Wreszcie wszedł do kanału Flintrinne w porze nocnej, licząc na niepostrzeżone przemknięcie. Niewielka szerokość i głębokość kanału, utrudniała manewrowanie. Ale los nie oszczędził naszym podwodnikom dramatycznego przeżycia. Na konkursie ukazały się dwa niszczyciele niemieckie, jeden typu „Maas”, drugi „Wolf” z zaciemnionymi światłami. Przeciwnicy posuwali się przeciw sobie wolno a gdy minęli się, Niemcy oświetlili reflektorami nasz okręt podwodny. Zdawało się, że nadeszła decydująca chwila. Jednak reflektory zgasły i niszczyciele popłynęły dalej. To był jeden z paradoksalnych wydarzeń wojny.

ORP „Wilk” przeszedł na morze Północne. Później, po dokonaniu napraw w porcie brytyjskim, wychodził jeszcze kilka razy na patrol, przy czym w czasie jednego z nich doszło do nowego spotkania z Niemcami. Nasi uważali pływający na powierzchni niemiecki okręt podwodny, który wystąpił torpedę na „Wilka”. Pocisku podwodnego uniknięto, ale nie było czasu na wystrzelenie własnej torpedy. Nasz okręt podwodny rzucił się więc na przeciwnika i taranował go dziobem. Nie wiadomo do dziś czy Niemiec zatonął czy został ciężko uszkodzony. Raczej przypuszczać należy to drugie, gdyż na liście strat nie ma żadnego podwodnego korsarza Doenitza, zniszczonego w danym dniu przez Polaków.

Nic nowego pod słońcem — powiedział Ben Akiba, z czego wynika, że dopiero po zachodzie słońca świat staje się piękny i interesujący. Wieczorem. Istotnie: jeśli nie liczyć Nowego Ratusza w Poznaniu, to jedną z najpiękniejszych ozdób wszechświata jest pogodna letnia noc. Wszyscy poeci i zakochani, czyli ca 98% społeczeństwa, zgodzą się z tym przez aklamację.

Letnia noc. Przez otwarte w ciemność okno wpada z ulicy woń czeremchy (nie jestem wprawdzie zupełnie pewny czy to właśnie czeremcha, w każdym razie coś czuć). Ze sąsiednich mieszkań dochodzą w ciszy zmieszane, tajemnicze odgłosy. Przekrój przez szmery Poznania. W taką noc z zawodowym poczuciem aktualności i inwencją wypada pi-

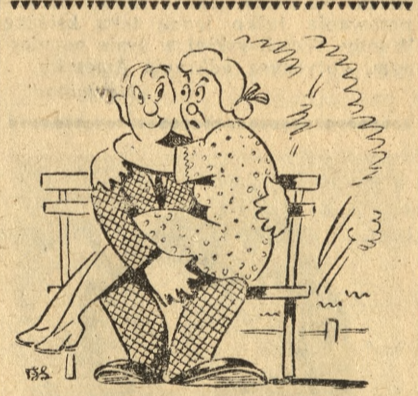


sać o wiosnie. O słowikach, księżycu i o wonnych jaśminach, płonących wśród cichej nocy. Wprawdzie, jeżeli mnie pamięć nie myli, już gdzieś ktoś na ten temat pisał, ale... „czy pamiętasz tę noc w Zakopanem?”

Na spokojnej od dziesięciu już minut ulicy wybuchła nagle z pijanym hałasem popularny hymn o Zakopanem. Drżąc przerażone szyby. Jezdnią trzymając się pod rękę, fałszywie zaimprovizowany kwartet. Dołębne, acz zachrypnięte wysokoprocetowym wrzuceniem głosu, nawet w partlach solowych zdolne były pobudzić śpiących pod Zakopanem rycerzy. Co kilka taktów poszczególne członkowie zespołu wykonują — jak się zdaje niezupełnie dobrowolnie — siad płaski lub taneżne „padnij”. Wtedy nocna serenada milknie na chwilę, a pod niebo wznosi się radosny ryk pozostałych kolegów.

Gdzieś zapala się światło, gdzieś słychać płacz przebudzonego dziecka, ktoś klnie soczyście przez okno. Zwykle nocne intermezzo. Nastroj przysł. Tym bardziej, że żona też się obudziła. Pocięłam się nieśmiało nadzieją, że nocni trudadurówie, zapamiętają dobrze tę noc w Poznaniu, obudzili się jutro pod tklivą opieką M. O., i zabierając na pamiątkę kwit na zapłacony mandat.

O czym to chciałem pisać? Acha, o



— I jak ty mógłbyś żyć bez mnie najdroższy?
— Jak? nieco taniej.

Z powodu radu — z rozkazu Rady, Zdrada, na którą nie ma rady. Choć to uważał potroszę za zdradę Rad-nie-rad Berger oddał swój plac Bo Miejska Rada urządziła zgodnie, że czas już uciąć polon i rad.



— Niech się pan hrabia nie czuje skrepowany w naszym towarzystwie.

wiosnie i o cichej jaśminowej nocy. Eh... Mam zawsze w pogotowiu zapas amerykańskich żarówek. Cud techniki. Nie tylko że normę pracy wykonują w ciągu godziny, po czym bezapelacyjnie gasną, ale rzucone o bruk eksplodują z hukiem pośledniejszego granatu. Taka żarówka pekając pod nogami nocnego wyjca z reguły zatyka go na jakiś czas i zmusza do przyspieszenia — w miarę możliwości przynajmniej — kroku.

Więc jak to było z tą wiosną? Czuję powracające natchnienie. Tym bardziej, że żona zasnęła uprzejmie.

Alarm! Nalot!... Ach, te nasze powojenne nerwy! Skąd nalot? To tylko jakiś niedoszły uczestnik wyścigu motocyklowego o Grand Prix. Trzeba przyznać, że jedzie wyścigowo: bez lampy i bez tłumika. W tzw. ironicznie ciszy nocnej drżą przerażone szyby. Gdzieś zapala się światło itd. Zwykle nocne intermezzo. Nastroj przysł. Tym bardziej, że żona też się obudziła. A felieton jeszcze nie zaczął.

Oj, znowu jakiś duet. Ryczą jak trąby jerychońskie w dur-nej tonacji. Przerażone szyby drżą. Gdzieś zapala się światło itd.

Czy ja tego felietonu nigdy nie napiszę? O, nocy cicha...

Boże, te nasze powojenne nerwy! Przez chwilę wydawało mi się, że to syrena alarmowa. Tymczasem to ten szofer z przeciwka, co to ma „pod sobą” samochód zapomniał widocznie klucza od bramy i dusi bez przerwy na klakson.

O, M. O., czy te Em-O-cje nocne nigdy się nie skończą?

Z wyrzutem patrzę na zegar, wskazujący rzeczowo godzinę czwartą nad ranem. Na biurku dzwoni telefon. Zapewne ktoś zwoywa mnie do połogu albo do pożaru.

— Nie wiem, o której odchodził pościąg do Szczecina — odpowiadam uprzejmie w słuchawkę — ale niech się pani rzuci pod jakikolwiek inny. Mnie to nie robi różnicy.

Oczywiście pomyłka.

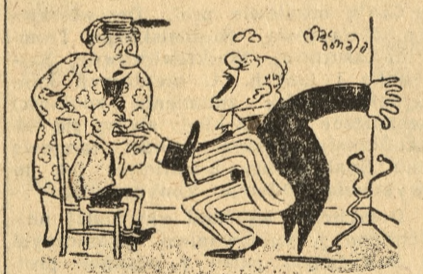
Kładę plastelinę w uszy i idę spać. Felietonu nie będzie.

Dobrze jest, gdy człowiek potrafi precyzyjnie kłąć.

Z. KARCHOWSKI



— Wiesz tatusin, już nie możesz mówić do mamy „moja droga”.
— Dlaczego synku?
— Pan nauczyciel powiedział że trzeba zwalczać drożyznę.



— Niech pan uważa doktorze na jego lewy „sierpowy”. On jest niebezpieczny.
„The Wechly News”

Słownik wyrazów obcych

- BESARABIA — kraj niezamieszkały przez Arabów;
GRADACJA — gradobicie;
FARMACJA — nauka o iarmach amerykańskich;
KARNACJA — naród, który winien być ukarany (np. Niemcy);
PÓLKOLONIA — dominium;
PROCESJA — skłonność do prowadzenia rozpraw sądowych;
RAKANIA — sklep sprzedaży raków;
ACETON — beton, kreton, żeton — różne tony w muzyce.



Prof. U. P. Dr Adam Skalkowski, tegoroczny laureat PTPN i dziekan Wydziału Hum U. P.

Kilka rad niezbędnych

Jak dobrze spędzić wakacje?

Nie ma gorszych rzeczy, jak niedobrane małżeństwo i źle spędzone wczasy. Może nawet to drugie jest gorsze, bo sprawy małżeńskie można jako tako naprawić, a wczasów nie — szkoda mrugać. Wspominały się będą przez cały rok, jak złośliwa czkawka. Żle wykorzystane wczasy zaturają ci humor aż do następnych, podkopają zgodę małżeńską, przyspieszą wyłysienie i zmarszczki i w ogóle krótko mówiąc — bryndza.

Od niepamiętnych czasów wiedzą ludziska, dokąd najlepiej jest wyjechać, są informatorzy, prospekty, reklamy, są artykuły w prasie, zachęca radio, radzą ciotki, znajomi i „obieżyświaty”, ale to wszystko pomaga jedynie w geograficznym zorientowaniu się, czy pojechać tu, czy tam, natomiast zapomina się o taktycznym spędzaniu okresu wakacji. Gdzie spędzić, to fraszka, ale jak spędzić, oto jest zadanie. I okazuje się, że najędrsi popełniają w tym względzie co roku te same błędy.

Oto kilka skromnych, ale życzliwych rad, jak spędzić wczasy:

- przede wszystkim nie spędzać ich razem z własną żoną, którą należy wysłać na wakacje do innej miejscowości, oddalonej o co najmniej o 320 km. (To samo odnosi się do żon: nie jechać razem z mężami!). Wczasowanie z czują żoną należy do niemodnych przeżytków minionej epoki;
- pod żadnym pozorem nie zabierać ze sobą odcisków
- nie wyjeżdżać na wczasy w lipcu, bo wszędzie pełno
- nie zostawiać mieszkania pod nadzorem krewnych, bo gdy wrócisz, nie wpuszczą cię, a jeśli łaskawie wpuszczą, to sami nie wyprowadzą się
- tylko kłepsy pomylenicy wyjeżdżają na wakacje z przyborami do uczenia się;
- zabieranie ze sobą instrumentów muzycznych powinno być karane, bo jak tu wypożyczyć np. w pensjonacie, w którym dziewięciu wygrywa na szeslu akordionach!
- w papierosnicę włożyć sobie kartkę, z wyraźnym napisem: „Jedziesz na świeże powietrze, więc nie zapakujdzaj go dymem!” Na krawacie przyszyć slogan: „Wczasy bez nerwów dokonają cudu!” Na rękawie też: „Nie spiesz się!”
- romansowanie na wczasach, to plaga, z którą trzeba stanąć do walki. Goni taki facet za jakąś zgrabną spódnicą, traci nerwy, pieniądze, nie wyspi się — i tyle ma z wakacji! A więc, kobiety, pamiętajcie: Jak wczasy, to przede wszystkim wczasy od mężczyzn.

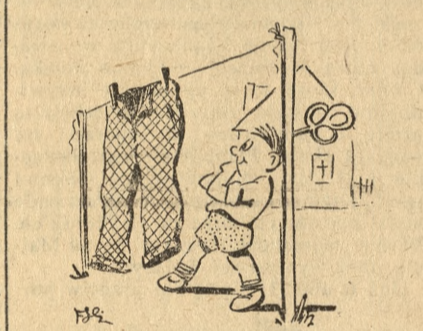
A więc, mężczyźni, realizujcie hasło: „Nie ma miłszych wakacyj nad wakacje bez kobiet!”



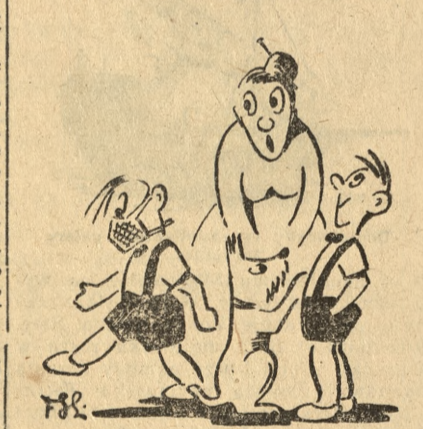
— Masz połówkę papierosa?
— Papierosa to nie mam, ale mogę ci powiedzieć, która godzina.

- nie wypada czytać najnowsze powieści
- kobieta zabierająca modną długą suknię pozabawia się lekkomyślnie 15 cm zdrowia
- czytanie gazet na wczasach należy do złego tonu
- tylko półgłówki piją w tym czasie wódkę
- mądry wczasowicz nigdy nie denerwuje się na żadną pogodę bo wie, że i tak wyzwickami jej nie zmieni.

Oczywiście nie mogą ręczyć, czy sam z powyższych rad skorzystam w czasie mego urlopu... Bęc.



Zemsta jest rozkoszą bogów.



— Dlaczego nalożyłeś bratu kaganiec?
— Bo idzie dla nas kupić czekoladę.

ZDANIA

- Lepiej spocząć na tapczanie, niż na laurach.
- Póty dzban wodę nosi, póki nie zaczną wiadrem.
- Łatwiej jest wmówić kobiecie, że brzydka jest, niż to że mądra.
- Robienie dobrych interesów ma tę ujemną stronę, że zajmuje czas.
- A na co ci łopata potrzebna?
— Będę podkopywał sobie zdrowie.
- Dbajmy nie tylko o czystość zębów, ale i języka ojczystego.
- Analfabetyzm zwalcza się także w interesie fabryk przyborów piśmiennych.
- Trzeba przyjąć, że najędrszy mężczyzna jest dwa razy mądrzejszy od najędrszej kobiety.
- Zyje się od jednego bólu zębów do drugiego.
- Do wszystkiego można się przyzwyczaić — tylko nie do swe-go konania.

Wyjechałem na wczasy. Biorę udział w konkursie. Pantaleon Śliwka